POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. *Dnia 12-go—19-go kwietnia 1941r.* **Rok III. Nr. 15-16**

Święto Zmartwychwstania—święto nadziei



Święto Zmartwychwstania Pańskiego jest nie tylko świętem religijnym, ale i świętem narodowym. Albowiem wiara w zmartwychwstanie jest częścią naszego katechizmu narodowego. Bez niej bylibyśmy nieraz upadli i nie powstali.

Na ciernistej i krwawej drodze naszego bytu państwowego i narodowego byliśmy już nieraz uznani za umarłych, ale że nigdy siebie za umarłych nie uznaliśmy, dlatego zawsze potym przychodziło — zmartwychwstanie.

W zaraniu dziejów naszych po króla Bolesława Chrobrego śmierci zdawało się, że nic z dziedzictwa jego się nie ostoi przed zalewem nawrotu pogaństwa i obcego najazdu. A jednak z Królem Odnowicielem przyszło—" odnowienie."

W średniowieczu groziło nam, że księstwa polskie we wzajemnych walkach staną się łupem Niemców i podziela los Śląska, a jednak w końcu tego okresu łokciowy król, który początkowo w lasach kryć się musiał, wielkiemu synowi mógł zostawić w spadku nie księstwo, lecz państwo.

W czasie potopu szwedzkiego uważano, że nadszedł koniec Rzeczypospolitej, a jednak stał się cud jasnogórski, a za nim cud zmartwychwstania narodu.

A wreszcie z końcem XVIII wieku, kiedy wieko trumny, w której złożono Polskę przybijało trzech grabarzy i świat cały uznał jej śmierć, Polska po 150 latach zmartwychwstała.

I teraz znowu czeka na swe zmartwychwstanie. A musi ono nastąpić zawsze, jeśli się w nie silnie wierzy, o nie walczy.

Jeżeli oparliśmy się tylokrotnym próbom uśmiercenia nas, oprzemy się i teraz. I tej wiary w zmartwychwstanie nikt nam nie odbierze.

Święto Zmartwychwstania Pańskiego umacnia nas w tej wierze, bo przypomina nam ciągle, że nie ma śmierci.

Są cierpienia, są bóle, są nieszczęścia, ale one są przemijającą ekspiacją za nasze winy.

Są one jednak czasem tak straszne, że je znieść trudno, są tak okrutne, że nie możemy ich porównać z naszymi winami, lecz i wtedy—nie zrodziła się w nas rozpacz i wygrażanie Bogu, — nawet wtedy jeszcze wierzyliśmy w wartość tych cierpień, tłumacząc je sobie jako cierpienia za grzechy ludzkości. Czerpiąc wzór, może nawet bluźnierczy, z cierpień Chrystusa—mówiliśmy, że i my za cudze winy cierpimy, ze Polska jest Chrystusem Narodów.

Była w tym siła ducha polskiego, który nie rezygnował, nie rozpaczał, lecz wierzył, że wszystko, nawet co najgorsze jest celowe i prowadzi nas do odrodzenia narodu. Taki naród nie mógł umrzeć, bo za nic nie chciał uznać swej śmierci.

I dziś mając przed oczyma męki naszego narodu—męki ponad ludzką miarę, bo zadawane przez zbrodniarzy poniżej ludzkiej miary — myślimy podobnie a tym razem słusznie, że nie tylko za nasze winy cierpimy, lecz i za winy świata, który chciał spokoju, używania życia i dla tego spokoju i wygody nie chciał nic poświęcić. A tym samym wierzymy, że kara jest niesłuszna, że nie poddamy się jej, że wybawienie przyjdzie i zmartwychwstanie przyjdzie.

Święto Zmartwychwstania jest świętem ofiary. Ofiara oczyszcza z win. Lecz skuteczność ofiary wymaga, aby zdać sobie sprawę ze swych win. Rozmyślania męki Pańskiej—są rozmyślaniem naszych win, za które Chrystus śmierć na krzyżu poniósł. Dni te w naszej ziemskiej, ludzkiej skali są również rozmyślaniem nad winami, jakie sprowadziły nasze ostatnie nieszczęście. Nie można bowiem szukać łatwej pociechy w tym, że tylko za cudze winy cierpimy. Nie byłoby to sprawiedliwe i nie prowadziłoby do oczyszczenia z win i do lepszego życia po zmatwychwstaniu.

Wielkie są nasze winy.

A największą z nich jest pycha, która prowadzi do nieposzanowania godności drugiego człowieka.

Pycha narodowa, — która mówi o swojej mocarstwowości wtedy, gdy w narodzie jest dużo ludzi ciemnych i głodujących, — pycha rządzących, którzy dzięki przypadkowi dostali w ręce władzę i nazwali się elitą, pycha jednostek, która nie pozwoli wysłuchać cudzego zdania a przeciwnika uważa za wroga.

Jeśli zmartwychwstanie zastanie nas z tymi błędami — będziemy żywi, ale chorzy.

Aby wyjść z siłą żywotną trzeba pamiętać o tym, co przyczyniło się do naszej zguby—i podnieść to, co nam pomogło ocalić honor i co nam da żyć w honorze. A tym jest ofiara.

Naród tę ofiarę złożył i składa z mienia, zdrowia, życia, przyszłości swojej i swoich dzieci. Ta ofiara daje nam prawo do życia i prawo do szacunku obcych i szacunku siebie samych. Ta ofiara to nasz tytuł do zmartwychwstania. A żadna ofiara nie jest daremna.

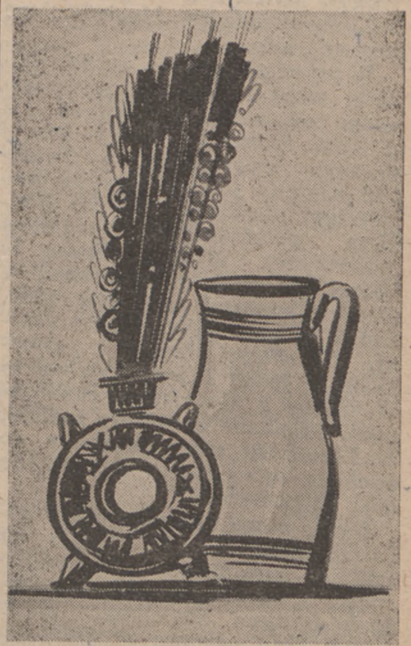
Ofiarę składa przede wszystkim ten, co ginie, ale i ten, co żyje pracując dla przyszłości, a nawet ten, którego los postawił w przymusowej bezczynności, i wszyscy którzy cierpią. Wszystko to i śmierć i praca i cierpienie i przymus bezczynności—wszystko to idzie na ofiarę odkupienia Polski. A wszystko co jest uchylaniem się od tego i szukaniem własnych dróg, osobistej wygody i wygodnego przetrwania na osobności—wszystko to nas od celu oddala.

A już żadną miarą nie wolno narzekać na swój los, bo nie ma cierpień, od których nie byłoby gorszych. Zwłaszcza, jeśli się pomyśli o kraju,—musi się zamilczeć o swoich troskach.

Dlatego od swoich trosk, bólów i przykrości w tym Dniu Zmartwychwstania do Was bracia w kraju się zwracamy.

Nie mamy innych słów pociechy, jak tylko pokorne i ciche słowa hołdu dla Was i Waszej wytrwałości. I nie myślimy o niczym innym, jak tylko o tym, abyśmy mogli swoją pracą zasłużyć się tak, abyście nas przyjęli z braterskim pozdrowieniem. Jesteśmy tu od Was posłani, aby stać na straży honoru Polski. Staramy się.

Są już groby naszych lotników, a w głębiach mórz dalekich śpi wielu naszych bohaterów. Na polach Francji i Norwegii rozrzucone leżą kości naszych żołnierzy.



Jednak więcej od poległych, znacznie więcej, lata w powietrzu, płynie po morzach i stoi z bronią w ręku na wybrzeżach Anglii—a wszyscy czuwają, czekając zmartwychwstania.

I dzień ten przyjdzie.

Nadlecą do Was nasze eskadry i siwo odziane chłopaki z nich w Wasze zeskoczą ramiona i nadpłynie flota polska tak silna, że Gdynia jej nie pozna, a od strony Niemiec usłyszycie zbliżające się polskie kolumny pancerne a z nimi będą nasi żołnierze, których z obozów niemieckich przywieziemy.

Stanie się to głównie dzięki tym, co tego dnia nie doczekali.

Więc na ich cześć zadzwonią wszystkie dzwony w Polsce, pochylą się wszystkie sztandary—we wszystkich kościołach na marmurowych tablicach ich imiona zaświecą i w księgach z pokolenia na pokolenie ich imiona podawane będą.

I będą dłużej żyć, niż ci, co żywi przyjadą. . . .

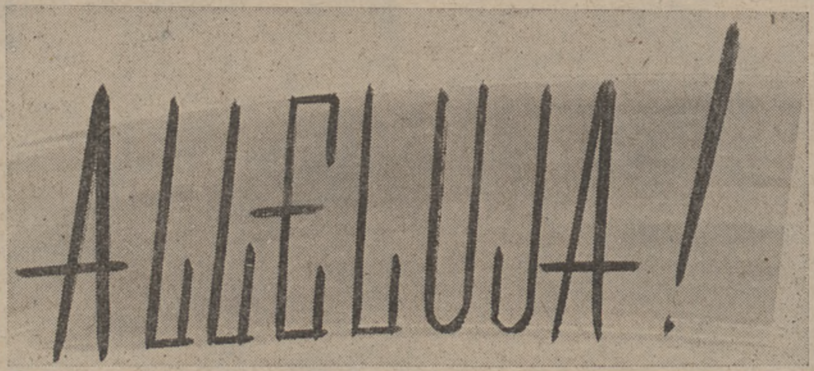
I gdy ci, co zginęli—z wyżyn niebieskich to zobaczą,—nie żal im będzie, że ich życie skróciło się o kilka lat, kiedy się przedłużyło o wieki.

I tym, co po nich zostaną—łzy przestaną płynąć, gdy zobaczą, jaka sława po tamtych została, że przerosła ona ich życie, że zrobiła ich większymi, niż gdyby żyli, że śmierć ich pozwoliła im żyć—wiecznie.

Bo nie ma śmierci, kiedy jest zmartwychwstanie.

I w dzisiejszym dniu Zmartwychwstania Pańskiego o tę chwilę, kiedy ze wszystkich pobojowisk świata zgromadzą się w Polsce żywi i nadlecą duchy umarłych, o tę chwilę Zmartwychwstania Polski—prosimy Cię Panie.

St. Sz.



DZIELIMY ZE WSZYSTKIMI NASZYMI CZYTELNIKAMI, WSPÓŁPRACOWNIKAMI I PRZYJACIÓŁMI—NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE.

ŁĄCZYMY SIĘ MYŚLĄ I SERCEM Z NASZYMI BLISKIMI W KRAJU, Z NASZYMI KOLEGAMI W OBOZACH JEŃCÓW I W OBOZACH INTERNOWANYCH, Z ŻOŁNIERZAMI "BRYGADY KARPACKIEJ" STOJĄCEJ, JAK MY, W POGOTOWIU BOJOWYM.

TYM KRĘGIEM WSPÓLNOTY POLSKIEJ OBEJMUJEMY WIELKĄ POLONIĘ AMERYKAŃSKĄ, Z KTÓRĄ TEJ WIOSNY ŁĄCZĄ SIĘ NASZE WIELKIE I GORĄCE NADZIEJE.

SERDECZNE MYŚLI NAS WSZYSTKICH, ŻOŁNIERZY POLSKICH W WIELKIEJ BRYTANII, SKUPIAJĄ SIĘ WOKÓŁ NACZELNEGO WODZA, GENERAŁA WŁADYSŁAWA SIKORSKIEGO I PREZESA RADY NARODOWEJ, STANISŁAWA MIKOŁAJCZYKA—IDĄ DO NICH NASZE ŻYCZENIA, ABY WŚRÓD POLONII AMERYKAŃSKIEJ CZULI SIĘ BLIŻEJ POLSKI I BLIŻEJ ZWYCIĘSTWA.

WIELKANOC

Zdaje mi się, że to było tak niedawno, jakby przed rokiem lub dwoma, a to już temu lat czterdzieści. Czas szybko ucieka i tylko wspomnieniami gonić można chwile dawne, które już nigdy nie powrócą. Do tych najmilszych wspomnień należą obchodzone tak uroczyście w domu rodziców moich święta wielkanocne.

Przedświt każdej wiosny jest dla wieśniaka początkiem nowego okresu jego życia, wątkiem nowej nadziei. Choć śnieg z deszczem siecze jeszcze jak ogniem, czerstwe jego policzki, a wiatr przejmuje dreszczem do kości, ale każdy promień słońca kruszy pęta lodowe, które krępowały ziemię w jej martwocie, a śpiewem skowronka dzwonią niebiosa nad polami i bocian klekocze nad strzechą, obejmując swoje gniazdo, i trawka kiełkuje w wilgotnej ziemi, zapowiadając błogosławioną wiosnę i lato.

W tej właśnie porze, przed wiejskim starym dworem, porządkowano od rana dziedziniec. Z gęstych klombów starego bzu i jaśminu wygrabiano sczerniały liść jesienny, podjazd wysypywano świeżym piaskiem, a przed gankiem potrząśnięto nasiekaną świerczynę. Między oficyną, w której mieściła się kuchnia, a dworem panował ruch niezwykły. Był to bowiem dzień wielkosobotni. Co chwila biegały z pośpiechem w jedną i drugą stronę to niewiasty z chustkami, zawiązanymi na głowie w rodzaju zawoja, to Brzozosia, stara klucznica, to kucharz, to rumiane, korpulentne bose dziewczęta.

Był w domu naszym pokoik narożny, niewielki, w którym na święta wielkanocne ustawiano święcone na dużych stołach zasłanych białymi obrusami. Białe ściany tego pokoiku przybierano w świerkowe gałęzie, miłą woń lasu dające. Teraz przenoszono do tego przybytku z kuchni i śpiżarni ciasta i mięsiwo. Więc najpierw widziałeś, jak Brzozosia z niewiastami dźwigała ostrożnie, wysokie na łokieć walcowego kształtu baby szafranowe, przybrane w białe czepce z lukru, różnobarwnego maku i konfitur domowych. Ustawiono je w zwartym szeregu pod ścianami, jakoby do boju, który miał się zakończyć ich poćwiartowaniem i spożyciem przez ludzi. U ich stóp leżały pokotem w drugim szeregu, niby wasale, placki pulchne, a grube jak poduszki, wysadzane rzędami białych migdałów i czarnych wielkich rodzenków. Dalej szły słodkie mazurki jak kwadratowe kobierczyki, przybrane w lukier, mak kolorowy i agrest smażony.

Stół oddzielny przeznaczony był dla mięsiwa. Tu królował postawiony na środku pieczony baranek, przy którego poświęceniu kapłan oddzielne odmawia modlitwy. Po kostki z tego baranka zwykle przychodzili po świętach wieśniacy, aby zakopać je w czterech rogach granic wioski, w sobotę przed "przewodami," co miało zabezpieczać od klęsk i gradu. Na wielkiej misie stos różnobarwnych i wzorzystych pisanek rozweselał ten obraz tylu ofiar świata zwierzęcego, poświęconych kwoli uroczystości dorocznej i niekłamanych apetytów wiejskich. Obok baranka czarna głowa potężnego wieprza, z uszami postrzępionymi nieco za jego życia przez kundle, trzymała w rozwartej paszczy białe jajko, przypominając z dala głowę negra z białymi zębami. Para rumianych prosiąt z zamrużonymi oczami i pozakręcanymi kokieteryjnie ogonkami, trzymając korzenie chrzanu w zębach, świadczyła, że ofiarą tej rzezi wielkanocnej padali nie tylko ojcowie, ale i niewinna ich dziatwa. Indory, które za życia sprawiały tyle na naszym dziedzińcu harmideru i okazywały buty, leżały teraz cicho, wykazując tylko, że były przed śmiercią przemocą utuczone, a po śmierci nadziane. Stos kiełbas podobien był do węża skręconego w sto pierścieni z niewidzialną głową i ogonem. Mięsiwo przyozdobione było jak i ciasta gałązkami zielonego barwinku, a panował nad nimi krzyż obrośnięty jasnozieloną, drobną, gęstą rzeżuchą, coroczny popis starego ogrodnika.

Na ziemi stały kopanie z galaretą, z nóg wołowych przyrządzoną i kosze z rumianymi pierogami, co wszystko przeznaczone było dla czeladzi, dla której kupiono dwa tuziny wielkich nowych misek, aby każdemu nadzielić czubatą porcję wszelkiego mięsiwa.



Elwir Andriolli (1837-1893): Święcone

Dziś wydać się może dziwnem, kto to był w stanie spożyć tyle jadła i zapasów. Owóż wiedzieć trzeba, że wówczas na stole dworskim utrzymywano połowę służby i czeladzi, a mianowicie wszystkich bezżennych i niezamężne, a każdy otrzymywał święcone oddzielnie, składające się z wielkiego pszennego pieroga i głębokiej misy, naładowanej mięsiwem rozmaitym. Pamiętano o święconym dla sierót na wsi i starych sług, dla ludzi bez ogniska rodzinnego, kalek i podróżnych. Dostawała święcone służba przybyła z gośćmi, bo przez dwa dni świąteczne prawie nie gotowano zwykłego obiadu, śniadania i wieczerzy. Był przy tym zwyczaj przechowywania niespożytych na Wielkanoc bab i mazurków, aż do Zielonych Świątek.

Wszystko oczekiwało w Wielką Sobotę na przybycie proboszcza, który w dniu tym objeżdżał dwory, wioski i zaścianki, poświęcając swym parafianom dary Boże. Na dom nasz przypadała kolej w godzinie południowej. Gdy nadeszła wieść o przybyciu kapłana, powstał we wsi ruch niezwykły. Biegano z tą wiadomością od chaty do chaty. Z pod każdej strzechy wychylała się kobieta, niosąc śpiesznie do dworu słomiankę o płaskim dnie, owalną kobiałkę z ciężarem, w biały, czysty, szeroki z frendzlami ręcznik domowej roboty, zawiniętym.

Następowała chwila tradycyjna, charakterystyczna. Przed starym gankiem, na czterech słupach wspartym, wieśniaczki ustawiały na ziemi swoje kobiałki w duże półkole i odkrywały z białych zasłon to, co do poświęcenia przyniosły. Były to wszystkie prawie analogiczne ze święconym we dworze, przedmioty. Jeno uboższe, skromniejsze i brakowało tylko mazurków. W każdej kobiałce kraśniało kilka pięknie rysowanych pisanek, rozpierał się owalny pierog, taki sam jak dworskie, do boku jego tulił się świeży ser śnieżnej białości, opasany wiankiem kiełbasy, kawał wędzonki i sól do poświęcenia nieodzowna. W możniejszych pyszniła się babka żółta od krokoszu, pękata, bo zwykle upieczona w starym garnku, który przy wyjściu ciasta musiano rozbijać, i wyglądało ciekawie z pod ręcznika blade prosię z jajkiem lub chrzanem w zębach. Wszystko przybrane było zielonym barwinkiem i gruszewnikiem leśnym i roztaczało woń niezwykle przyjemną dla tych, którzy przez cały post wstrzymywali się od nabiału, okrasy wszelkiej i mięsa.

Gdy dano znać, że już nikogo z wioski i czeladzi dworskiej z kobiałką nie brakuje, postawiono w środku półkola, przed gankiem, ceber z wodą studzienną. Wyszliśmy wszyscy na ganek z kapłanem, ubranym w białą komżę, który przeczytawszy z książki modlitwę, sypał szczyptę soli do cebra wody i podanym mu domowym kropidełkiem skrapiał kobiałki, a potem lud obecny i nas wszystkich, czyniących znak krzyża na sobie. Taka sama ceremonia odbywała się potem w małym narożnym pokoiku.

Teraz cały lud w przyniesione z sobą flaszki czerpał skwapliwie z cebra wodę święconą, którą w każdym domu chowano do poświęcenia nowych mieszkań, budynków, dobytku i do chrztu niemowląt w nagłej potrzebie. Księdzu odjeżdżającemu wstawiano do bryczki koszyk z babką lub plackiem. Resztę niewyczerpanej wody z cebra wlano do studni.

W nocy starsi jechali na rezurekcję, a dzieci pozostawały w domu. Z kościoła całe obywatelstwo wstępowało do proboszcza, powinszować pasterzowi świąt Zmartwychwstania Pańskiego i podzielić się jajkiem święconym. Lud powracał ze świątyni rano do domów swoich, zacinając konie batem z powodu gorączkowego pośpiechu do zakosztowania "święconki."

Nie mogę zapomnieć miłego wrażenia, którego zawsze doznawałem, gdy rano w pierwsze święto liczna gromada młodszych gospodarzy i parobków w ubiorach świątecznych przybywała rodzicom moim świąt powinszować i w domu naszym śpiewała potężnym chórem, wesołą, piękną pieśń Alleluja. Poczem częstowano święconem winszujących.

Za sadem, wśród wioski, młodzież z siedmiu wielkich drągów, które ze dworu na ten cel dawano, budowała huśtawkę. Niekiedy urządzano huśtawki między drzewami, a bywały i tak pierwotne, że ławkę nie na sznurach lecz wiciach brzozowych zawieszano. Czasem urządzano "kobylicę" t.j. najprostszej budowy karuzel, złożony z dwuch krzyżujących się barier, osadzonych do kołowania na niewysokim pionowym słupie. Wszystko to zachowywano w każdej wiosce do Zielonych Świątek, podczas których, dla przyjaźniejszej pory roku, lud zabawiał się jeszcze nieraz weselej, niż na Wielkanoc.

Przez pierwszy i drugi dzień Wielkiejnocy ogień w domach wieśniaków był wszędzie zagaszony, bo nie gotowano tam żadnej strawy, posilając się tylko święconym rano, w południe i wieczorem, oraz krupnikiem z miodu i wódki. Tak samo było w naszym domu, tylko z tą różnicą, że zamiast krupniku podawano rano kawę a przy święconym w południe na filiżanki gorący barszcz, rosół i winną polewkę.

Wielkanoc bywała zawsze domową uroczystością wielkiej doniosłości. Zgromadzała bowiem prawie każdą rozpierzchniętą po świecie rodzinę pod dach domowy, dla ogrzania przy rodzinnym ognisku. Jak owe rozłożyste konary drzewa tylko przy pniu swoim stanowią krzepką spójnię, z której w dal odrosły, tak i krewni przy macierzystym ognisku łączą się w bratni węzeł, powinowaci poznają się i zbliżają wzajemnie, sieroty przybywają otrzeć łzy swoje i zapomnieć o niedoli pod strzechę krewnych. To też w pierwszym dniu święta każda rodzina pozostawała sama z sobą, drugi zaś i trzeci (tak po dworach, jak u ludu) przeznaczony był na wzajemne odwiedziny sąsiedzkie, a zabierano z sobą i dzieciarnię.

W dniu drugim śmigus czyli dyngus rozweselał młodzież, zarówno po dworach jak zaściankach i chatach wiejskich, z tą tylko różnicą, że gdy w pierwszych opryskiwano znienacka lub za kołnierz pachnącymi wódkami, to u ludu zwykłą miarą był garnczek, lub wiadro wody a często pod kubłem przy studni, doszczętna kąpiel przytrzymanej przez parobczaków dziewki, lub odwrotnie.

W niektórych okolicach Mazowsza widziałem małych chłopców, którzy chodzili od domu do domu "po włóczebnym" i zbierali sobie święcone na ucztę dziecinną, winszując wszędzie:

Ja mały żaczek,
Jak robaczek
W szkole nie bywałem,
Różczki nie widziałem,
Różczki zielonej,
Z drzewa łomionej.
Nie wiele umiem
Ino państwu powiem:
Na Wielkanoc rano
Z grobu zmartwychwstano,
Rączkę podnoszę,
Włóczebnego proszę.

Dziewczęta znowu chodząc po włóczebnym, tak winszowały Wielkiejnocy:

Do tego domu wstępujemy,
Zdrowia, szczęścia winszujemy,
Wszystkiego dobrego
Od Boga miłego—Alleluja.

Pan gospodarz w rogu stoła,
Suknia na nim w złote koła,
Gosposia kluczami brzęka,
Podarunków dla nas szuka—
Alleluja.

Szukaj jejmość, maszli szukać,
Bo nam długo tutaj czekać,
Bo my wózkiem nie jedziemy,
Co nam date, to weźmiemy—
Alleluja.

Zygmunt Gloger



Elwir Andriolli: Procesja rezurekcyjna

"Święta rezurekcja" w 1794 r.





" Oświadczamy w obliczu Boga, w obliczu całego rodzaju ludzkiego, a mianowicie przed Wami, Narody, w których wolność jest wyżej ceniona nad wszystkie dobra świata, iż, używając niezaprzeczonego prawa odporu przeciwko tyranii i zbrojnej przemocy, wszyscy w duchu narodowym, obywatelskim i braterskim łączymy w jedno siły nasze; . . . wyrzekamy się wszelkich przesądów i opinii, które obywateli, mieszkańców jednej ziemi i synów jednej Ojczyzny, dotąd dzieliły i dzielić mogą, i zaręczamy sobie na wzajem nie oszczędzać wszelkich ofiar i sposobów, jakich tylko święta miłość wolności dostarczyć zdoła ludziom, powstającym w rozpaczy na jej obronę . . . Uwolnienie Polski od złego żołnierza, przywrócenie i zabezpieczenie całości jej granic, wytępienie wszelkiej przemocy i uzurpacji tak obcej, jak i domowej, ugruntowanie wolności narodowej i niepodległości Rzeczypospolitej, ten jest cel święty powstania naszego "—te śmiałe słowa aktu kościuszkowskiej insurekcji, ogłoszone 24 marca 1794 roku na Rynku Krakowskim, głęboko zapadły w duszę mieszczan warszawskich i żołnierzy polskich warszawskiego garnizonu.

Na pozór nic nie zmieniło się w obliczu stolicy formalnie niepodległego skrawka potężnej ongiś Rzeczypospolitej. Za plecami słabego króla Stanisława Augusta i bezwolnej Rady Nieustającej po dawnemu rządził wszechwładny wysłannik rosyjskiej carycy Katarzyny, generał Igelström. Rogatki warszawskie nadal pilnowane były przez rosyjskie posterunki, a 8 tysięcy żołnierzy rosyjskich i 1,500 żołnierzy pruskich stanowiło rękojmię " porządku i ładu " w mieście. Nie ustały aresztowania polskich patriotów, jak również nie przebudziły się sumienia dygnitarzy Targowicy, zaprzedanych Rosji, różnych Ankwiczów, Ożarowskich czy Kossakowskich. Jak przed tym rosyjscy generałowie i pułkownicy przyjmowani byli w salonach " wyższych sfer " stolicy i jak przed tym warszawscy mieszczanie otwarcie demonstrowali wrogi stosunek do okupantów, a bezbrzeżną pogardę dla czynników rządowych i zwolenników Targowicy.

WZRASTAJĄCE WZBURZENIE WARSZAWY

Szerokie rzesze ludności Warszawy, liczącej wówczas przeszło 100 tysięcy mieszkańców, ani na chwilę nie pogodziły się z rządami uległej Rosji Targowicy. Od momentu kapitulacji króla przed Rosją w Warszawie zapanowało silne wzburzenie. Powiększyło się z chwilą zajęcia stolicy przez obce garnizony. Rzemieślnicy i czeladnicy bezustannie prowokowali bójki z żołnierzami i oficerami rosyjskimi. Znani ze swej uległości dla Rosjan dygnitarze nie ośmielali się samotnie wychodzić na ulicę z obawy przed zemstą ludu. Rzemieślnik czy subiekt warszawski zaciskając pięści, z napięciem oczekiwał hasła walki z tymi, którzy odebrali jego ojczyźnie niepodległość, a jemu wolność.

Akt krakowski Kościuszki skierował to wzburzenie mieszczan do określonego nurtu. Wskazał drogę walki i wytknął jasno ideologię powstania. Warszawa uświadomiła sobie wyraźnie cele, dla których realizacji ma podnieść broń. Walczyć będzie o niepodległość, wolność i całość ojczyzny, a jednocześnie o nową Polskę, w której wszyscy będą obywatelami i braćmi. Walczyć będzie przeciw przemocy obcych mocarstw i uciskowi obcych żołnierzy, lecz jednocześnie ze stanowymi przesądami, które dzieliły synów Polski na warstwę uprzywilejowaną i szerokie rzesze pozbawionych praw lub w prawach ograniczonych. Warszawski rzemieślnik, czeladnik i kupiec gotów był na pierwsze zawołanie stanąć do tej świętej wojny o niepodległość ojczyzny i wolność ludu pracującego.

SPRZYSIĘŻENIE REWOLUCYJNE

Na tle nastrojów stolicy rozwijało się i działało sprzysiężenie rewolucyjne. Założone przez magnata Działyńskiego, grupujące przedstawicieli wszystkich warstw stolicy, jak głośnego bankiera Kapostasa, majora Zeydlica, starszego konfraternii kupieckiej Krygiera, księdza Meyera, szewca Kilińskiego, inteligenta Maruszewskiego, pozostawało w ścisłym kontakcie z emigracją lipską, przygotowującą zbrojny ruch powstańczy. Komunikowało się bezustannie z Kołłątajem, głównym w tym okresie doradcą Kościuszki.

Na parę miesięcy przed aktem insurekcji sprzysiężenie to zostało wykryte przez agentów rosyjskich. Część spiskowców z Działyńskim na czele została aresztowana, część jak Kapostas zbiegła zagranicę, reszta zaś zmuszona była do przerwania prac.

Rozbite sprzysiężenie energicznie podjęło działalność po akcie krakowskim. Ożywiły się narady, pośpiesznie przygotowywano plan warszawskiego powstania. Ksiądz Meyer i szewc Kiliński organizowali mieszczan, major Zeydlic z młodymi oficerami ze sprzysiężenia przygotowywał wojsko. Niebawem wciągnięto do sprzysiężenia generałów Cichockiego i Mokronowskiego. Udział wojska w ruchu został zapewniony, a na mieszczan warszawskich zawsze można było liczyć bez najmniejszej obawy.

WIELKI TYDZIEŃ

Echa bitwy pod Racławicami 4 kwietnia, wieści o roli chłopów-kosynierów w tej akcji, tworząca się legenda kosynierska wpłynęły na konieczność przyśpieszenia terminu ruchu w Warszawie. Mieszczanie warszawscy nie chcieli czekać dłużej, zachodziła obawa nieskoordynowanego, żywiołowego wybuchu rzemieślników i czeladników. Kierownicy rewolucyjnego spisku dniem i nocą bez wytchnienia krzątali się nad wykończeniem szczegółów technicznych ruchu.

Termin wybuchu został wyznaczony na noc z 17 na 18 kwietnia. Z początkiem już jednak Wielkiego Tygodnia ulice Warszawy przybrały podniosły wygląd. Panował ożywiony ruch. Kościoły były przepełnione. Nieznajomi witali się porozumiewawczym uśmiechem. Pracująca Warszawa przemieniła się w zwarty obóz. W mieszkaniach szykowano broń.

WIELKA ŚRODA

W Wielką Środę 17 kwietnia nieprzeliczone tłumy spowiadały się w warszawskich kościołach. Nastrój Warszawy był poważny i zdecydowany. Wieczorem zaprzestano spacerów, miasto jak gdyby się wyludniło. Po dwunastej w nocy dopiero zaczął się początkowo ruch nieznaczny, następnie co raz bardziej ożywiony. Ludność powoli wychodziła na ulice, a w koszarach polskich oddziałów żołnierze szykowali broń.

Z powstającym brzaskiem z koszar mirowskich wyszedł oddział dragonów i zaatakował rosyjską placówkę. Było to hasło wybuchu. Wnet na pułki rosyjskie natarły polskie oddziały, wspomagane przez ludność. Garnizon polski Warszawy liczył zaledwie 4 tysiące żołnierza, lecz wspomagały go tysiące mieszczan warszawskich. Walka wrzała na Starym Mieście, na Senatorskiej, Długiej, Podwalu, Zakroczymskiej, Miodowej, na Lesznie. Powstańcy walczyli z zaciętością. Około 7 rano pożarem wojennym zostały objęte Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście i Królewska. To wystąpił na pomoc walczącemu ludowi regiment " Działyńczyków " z pułkownikiem Haumanem na czele.

REZUREKCJA

Walki uliczne trwały przez 18 i 19 kwietnia. Ulice gęsto zasłane zostały trupami. Dwa tysiące żołnierzy rosyjskich poległo, drugie tyle dostało się do niewoli. Reszta wycofała się za miasto. Wycofali się i Prusacy. Cała artyleria i wielkie zapasy amunicji przeszły w ręce powstańców. Lecz i patrioci ponieśli wielkie ofiary. W walkach zginęło prawie 10% polskiego garnizonu Warszawy i około 1,000 cywilnej ludności. Żołnierz polskiego warszawskiego garnizonu i warszawski rzemieślnik zdali chlubnie egzamin ze swego przywiązania do kraju.

W nocy w Wielką Sobotę walki ustały. Gdzie niegdzie jeszcze tylko ludność uganiała się za rosyjskimi maruderami.

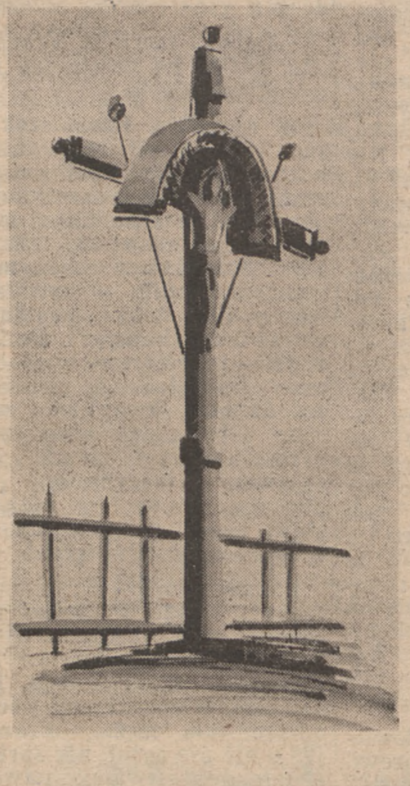
W Wielkanocną Niedzielę Warszawa wolna była od obcej przemocy, łączyła się z wolnym Krakowem, by wkrótce zespolić się i z Wilnem, uwolnionym w drugi dzień świąt przez mieszczan i żołnierzy płk. Jasińskiego.

4—18—22 kwietnia 1794 roku, Racławice—insurekcja warszawska i oswobodzenie Wilna—to najjaśniejsze chwile powstania Kościuszkowskiego, jeśli nie całych dziejów Polski XVIII stulecia. Polski chłop i polski mieszczanin wystąpili wtedy do walki o niepodległość, wolność i równość i kroki swe znaczyli zwycięstwem.

Edmund Oppman

zdobił Tadeusz Lipski

ZIEMIA GROMADZI PROCHY . . .



Smętek straszliwym cepem
prastare łuszczy gumna,
pod ścichłym w grozie niebem
" Śpiewniki cichną w trumnach."
Na usta, mapy, pergamin,
obcy dźwięk wtarga,
omotał, owinął, skluszczył
śpiewne imiona na wargach.
Pocóż kaleczysz i mroczysz,
odbarwiasz, pstrą farbą plamisz,
nazwy rozstajów, uroczysk,
wzgórz, siół, strumieni, polanisk?
Chwaszczyno, Dzierzążno, Ostrzyce,
Wda, Brda, Skrwa i Wietrzyce,
Swornegac, Pierszczewo, Kałębie,
słowa więzione, dręczone,
skrywane jak najgłębiej,
wywiną się z druków gotyckich,
wyfruną słowiańskim szelestem,
szepcząc, szumiąc i warcząc,
z gardeł ściskanych strykiem,
z prawieczy wykrztuszą,
wycharczą ostatnim tchem: JESTEM.

W krwiotryskach łun podwieczerzy
Świętowit na białym rumaku,
z żagwią od Rugii bieży. . .
Błyskawice z pod kopyt.
Czekajcie znaku.
Pośnięte korabie słowiańskich Wikingów
na dnie Bałtyku,
śpiący rycerze z pod Tatr,
słuchajcie? . . .
. . . Kopyto zderzone z klingą.
Pilnujcie: " Do broni "—krzyku. . . .
Nastawić twarz
na świeży " Od morza wiatr."

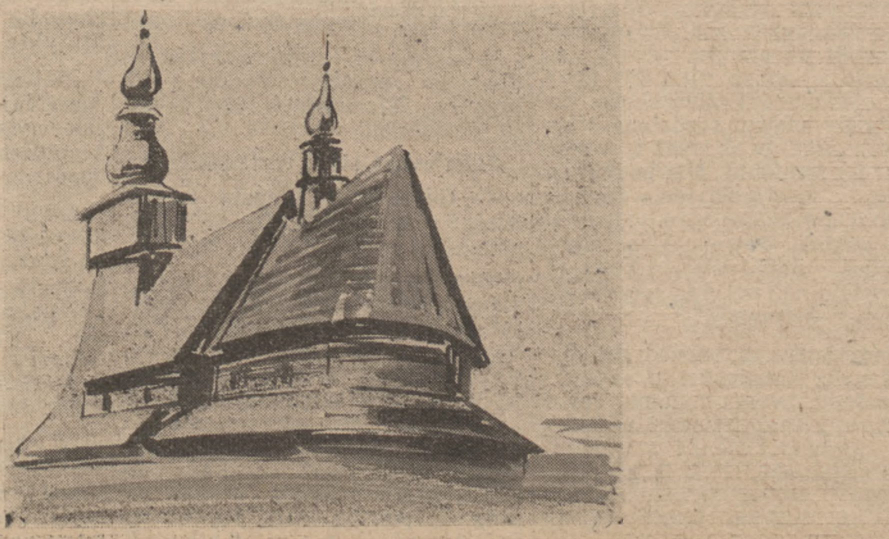
Głuche, przy zwartych szczękach szlochy,
Skowyty palców, szarpiących granit,
Spazm zapiekły krtani. . .
" Ziemia gromadzi prochy."
Od tysiącleci . . . wciąż. . .
Na grobie grób,
Przy mężu—mąż,
cmentarzysk pokoty.
Zrudziałe żyły krwi
w piaszczystym spłachciu złotym.
Słowiańska żyźń. MY.
Srebrne ołtarzów kielichy
z polerowanych czaszek,
patery bioder,
goleni pałaszę,
próchnica z wyprutych jelit,
czerń w złocie, czerwień na bieli.

Bór święty wali się głucho
w podrywach wściekniętych sił.
Tnie brzytwą ucho
zgrzyt siekier, świst pił.
Próżno zasklepia rany
perlistym płaczem żywica,
" Motyl w jantarze " skąpany
w krzepnącym szkle prześwieca.
Jętko, drobinko duszy,
królewno w trumnie szklanej,
Kiedyż pęta rozkruszysz,
duszku zaczarowany? . . .

Przezierasz podziemne lochy,
arsenał zbrodni i krzywd,
" Ziemia gromadzi prochy "
Na o s t a t e c z n y zryw.
Zbiera, gromadzi, skupia.
Czekać?
Rozorać pysk paznokciem,
zmierzwić głowę popiołem,
ogryść ręce po łokcie,
w obce progi tłuc czołem? . . .
Czy serce wyszarpnąć płonące
z za kraty więziennej żeber?
Jak granat, jak lont, tlejące
płomieniem nienawiści,
rzucić w olbrzyma zamachu
za Odry brzeg? . . .

Jeśli-ś Odwieczny z nami,
zstokrotnij proch w dynamit.
Jeśli nad światem władasz,
rozłup w straszliwym wybuchu
ziemię po krwawy brzeg Odry,
w szczelinę wpuść Bałtyk modry
i odgrodź nas na wieki
od zbrodniarza-sąsiada.

Józef Mamrot





FRANCISZKI

Kiedy 10-go września opuszczaliśmy miasteczko, na progu domu stały Franciszki: on, ona i dziecko, dwunastoletnia Teosia.

Pierwszy raz zdałam sobie sprawę, jaki jest Franciszek, kiedy pewien mały chłopiec, dzisiaj dorosły chłopiec, bardzo pragnący narysować twarz ludzką, przyszedł do mnie rozjaśniony:

—Zawsze myślałem, że to niemożliwe, ale teraz przyjrzałem się Franciszkowi i od razu narysowałem człowieka.

Rzeczywiście w kajecie widniał profil. Do nikogo niepodobny, jednak nareszcie z nosem, z oczami i z brodą na właściwym miejscu—coś w rodzaju prehistorycznego wzoru.

Franciszki zjawiły się u nas z Teosią po ciężkim okresie nędzy, pretendując do objęcia dozorstwa. Ona była z gospodarskiej rodziny, on—z "folwarcznych." Majątek, gdzie długie lata sprawował funkcje leśniczego, został sprzedany. Nowy właściciel dawał lepsze warunki, ale ponieważ dawny obiecał kiedyś Franciszkowi trzy morgi za przykładną służbę i słowa nie dotrzymał, Franciszek postanowił inaczej "sobie odmienić": powędrował do miasteczka.

Tu wynajmował się na dniówki. Ale żona chorowała, dziecko—wymodlone po śmierci kilkorga niemowląt—wymagało tym lepszego żywienia, i Franciszki w zielonej skrzyni przydźwigały na dozorstwo już tylko jeden majątek—kożuch.

Teosia zachowywała się dziko. Chwytała spod ręki różne rzeczy i uciekała za piec, skąd nastroszona patrzyła surowymi oczami. Nie chciała mówić, nie chciała chodzić, błyskawicą nosiła się na czworakach.

Aż kiedyś stanęła na nogi i przemówiła, jak rozsądna osoba. Odkąd zaprowadzono ją do ochronki, znikła na pół dnia z widnokręgu rodziców. W nagrodę pewnie za kruchość poprzednich latorośli rosła bez niczyjego wysiłku, chciwa książek i wszelkiej nowiny, pewnym krokiem zdążająca do własnego życia.

Rola Franciszków przy niej była taka sama, jak przy tych roślinach, które—przeflancowane w odpowiedni grunt—bez pomocy kwitną i pachną na wszystkie strony świata.

Najpierw mieszkali w drewniaku, zaciekającym i przewiewnym, w towarzystwie łasic i szczurów. Później w maleńkiej kuchence murowanej, gdzie poza łóżkiem mieścił się akurat jeden stolik i jedno krzesło, natomiast chodzić było trzeba profilem, żeby nie poobijać boków. Wreszcie w apartamencie składającym się z pokoju, kuchni, sionki, klozetu i łazienki.

Bywały zimy, że marzli, bywały, że ich zatapiało, bywały, że siedzieli w puchu.

Przez te wszystkie miejsca i czasy przechodzili niewrażliwie, jak książęta, niosący ze sobą skarb, zaszyty w rąbek koszuli. Ani się za bardzo nie uskarżali na wilgoć czy mróz, ani nie chwalili nad miarę apartamentu z łazienką.

Od wiosny do zimy każde słońce zastawało ich na dworze kopiących, sadzących, pracujących, dozorstwo bowiem rozrosło się wkrótce w ogrodnictwo, raczej we wszystko, do czego są potrzebne dwie pary uczciwych rąk na sześciu morgach, które należą do niedołęgów z Warszawy.

Wychodziłeś do ogrodu zaspany jeszcze, zdumiony blaskiem świata, zapomnianego przez noc, i gdzieś z gęstwiny maliniaka, czy znad truskawkowych grzęd, donosiło się po chwili gęste dudnienie Franciszkowej — długa jakaś, poufna powieść, przerywana zrzadka ostrym zapytaniem, chrząknięciem albo prześmiechem Franciszka.

Z czego składała się ta historia, opowiadana przez lata? U Franciszków nic się zupełnie nie działo. Gdzie Franciszkowa czerpała treść do niej? W siedemnastym roku poszła zamąż, później—zawsze pod okiem męża—od świtu do zachodu trzymała nos przy ziemi.

W każdym razie Franciszkowi ten akompaniament był przy robocie niezbędny.

"Franciszek wyflancuje bratki, Franciszkowa tymczasem niech podleje róże" . . . Po takim zaleceniu mogłeś zawsze stwierdzić, że Franciszkowa grzebie dołki, a Franciszek wkłada w nie flance. Potem oboje dźwigali konewki.

Franciszkowa wołała męża po nazwisku, on o niej mówił "kobita." Nigdy nie uważałam między nimi znaczących spojrzeń, ani słów. To, że dropiata, bezzębna "kobita" z mysim ogonkiem pod chusteczką mogła wzburzać krew w mężczyźnie i sama rumienić się bez śmieszności, zaczęłam podejrzewać dopiero obserwując zapalanie się oczu małej Teosi, bardzo—mimo pięknej urody—podobnej do matki.

Rozstawali się czasem. Franciszkowa z dzieckiem jeździła do dentysty, kiedyś zawieruszyła się z kompanią do Częstochowy, Franciszek przepił kilka nocy na weselach bratanic.

Widziałam raz ich spotkanie po rozłące . . . Franciszek kosił trawę, kiedy furtka skrzypnęła i Franciszkowa z Teosią zjawiły się na ścieżce. Dziecko głośno gadało, nie mogło być żadnej wątpliwości kto idzie. Franciszek nie oderwał oczu od kosy. Ani żona, ani córka także nie przystanęły chociażby na chwilę. Znikły na zakręcie, a on za nimi nie spojrzał. Wkrótce Franciszkowa pokazała się znowu, rozdziana z godowych szat, w fartuchu, z grabiami na ramieniu. Nie podnosząc głowy, nieznacznym ruchem wskazał, od której strony ma zacząć grąbić trawę. Usłyszałam znajome dudnienie: powieść, przerwana na trzy dni, toczyła się dalej bez wstrząsów.

Kiedy wczesną wiosną przybywaliśmy z Warszawy, Franciszki wychodziły do nas z domu, czy z krzaków, z tymi samymi minami, jakie miały w jesieni i w tych samych ubraniach. Tyle że ich miny z każdym rokiem stawały się wyrazistsze, niczym maski, które kurze i śniegi wciąż rzeźbią.

Wielkim zdarzeniem naszych wspólnych lat była budowa domu. Franciszek nie brał w niej bezpośredniego udziału, jednak niewiadomo, czy dom byłby stanął bez niego. Majstrowie wstydzili się próżnować przy Franciszku, dostawcy wstydzili się kraść. Nie został ustanowiony rządcą nad nimi. Ale jego kark niepilnowany, od świtu do zmierzchu zgięty pośród cudzych grządek, jego nieustępliwe oczy, kiedy z koszem obok przechodził, ta twarz tak regularna, że dzieciom za objawienie człowieczeństwa służyła—to trzymało ich w szachu lepiej od architekta i od właściciela. Zjawiał się zresztą Franciszek na budowie, kiedy trzeba było coś zamknąć na klucz, jakieś dobro od zagłady uchronić. Robił to bez tłomaczeń, tak naturalnie, jak gdyby jadł, albo spał. Nikt też nie próbował mu tłomaczyć, o ile spółka w kradzieży byłaby naturalniejsza. I nikt zemścić się na nim nie mógł, bo Franciszek niczyich łask nie potrzebował. Ani cesarskich, ani pańskich, nie tylko majsterskich czy sąsiedzkich.

Po długiej znajomości dowiedziałam się, ile lat służył carowi, podróżując w sołdackiej "szyneli" od Lublina po Bajkał i Sachalin, zanim w "Adesie" (Odesie) spoczął na lżejszym chlebie "deńszczyka." Odsługiwał swoje dalekiemu, niepojętemu carowi, skoro taki był mus jego czasu. Ale, skoro tylko ostatni dzień musu zaszedł nad Morzem Czarnym, Franciszek natychmiast wrócił do rodzinnego czworaka.

Owszem, chwalił kucharki-Niemki w "Adesie," które w niedzielę, pod nieobecność państwa, spraszały deńszczyków na kwas. Chwalił kawony i łaźnie. Ale ożenić się, ale żyć wrócił do lubelskiej wioski. Rekonstruując i spajając ze sobą fragmenty rozmów, których tematem nigdy nie bywały skargi, dowiedziałam się także na który dzień po porodzie musiała zrywać się Franciszkowa do dojenia krów tego dziedzica, który o trzech morgach zapomniał; ilu—najpierw rubli, potem złotych—brakowało zawsze do doktora, kiedy chorowały dzieci.

W miasteczku kipiało od polityki. Pewien właściciel sklepiku, swój czas, dzięki systemowi niedotrzymywania terminów obficie pozostający od kupieckich zajęć, poświęcał nacjonalizmowi. Wraz z licznymi synami jak dęby, buntował ludzi przeciw Żydom.

— Panie W—pytano nieraz—dlaczego przeciw Żydom, nie przeciw Niemcom i Rosji? oni są groźniejsi.

Uśmiechał się z wyższością.

— Gdzie tam Niemca zagranicą szukać—mówił—a Żyd-pośrednik soki katolickie wysysa.

Beniek—sprzedawca gazet—zimą i latem pyskował na kapitalizm, a kiedy już obraził się na Stalina z powodu Zinowjewa, sławił Trzecią Międzynarodówkę, wybierał się rzucić ryby piątkowe i przystać do czerwonych w Hiszpanii. W dniach łagodniejszych obiecywał jechać do Francji, gdzie Blum czekał na niego z posadą, albo nawet do Palestyny, o ile w "kibucu" znajdą mu inteligentne zajęcie.

Malarze, literaci, społecznicy, chodzili po ogrodzie, gadając głośno o różnych kryzysach, o jeszcze różniejszych programach. Późno w noc na tarasie siadywali mądrale z Warszawy, bezradnie patrząc w księżyc.

Czy to nie obchodziło Franciszków?

Owszem, lubili słuchać cudzych gniewów, pomysłów. Lubili w cudzych oczach zobaczyć marzenie. Kucnąwszy między zagonami, Franciszkowa—pieląc czy kopiąc—włączała potem zasłyszane słowa, gesty podpatrzone, do powieści, którą Franciszek przerywał pytaniami, żeby się upewnić, czy "kobita" to samo, co on widziała i słyszała. Przepowiadali sobie świat własnym językiem dla przyjemności mówienia ze sobą. Ale do kłótni o porządek świata widocznie nie chcieli się wtrącać, skoro—bez kłótni—tyle na nim codzień mieli do roboty.

Niektórzy ludzie z miasteczka nie znosili ich.

—Dworusy — powiadali — Sami nie zjedzą, drugim nie dadzą.

Albo śmieli się:

—Co taki Franciszek rozumie? Tyle wie, co zje.

Warszawianie schodzili im z drogi:

—Dziwni jacyś ci Franciszkowie, patrzą na gościa jak na zamorskiego diabła.

W niedzielę Franciszek golił się, wkładał odświętne ubranie, buty z cholewami wyczyszczone na szkło własnym denszczykowskim sposobem, i schodził z gór do miasteczka na sumę. Sam, bo Franciszkowa—w czarnym jedwabnym szalu — bywała na wotywach, żeby pustką nie zostawiać "chałupy." Po kupnie w dzień targowy, po wysłuchaniu mszy w niedzielę Franciszek jednakowo skwapliwie wracał, żeby albo ugiąć wraz z żoną grzbietu przy ziemi, albo—zdjąwszy marynarkę, siejąc blaski z butów i z rękawów—siąść przed progiem na swoje własne osobiste święto.

Z czego było to święto zrobione? Nade wszystko z milczenia. W święto ustawała powieść Franciszkowej. Franciszkowa, zajęta Teosią, kapuśniakiem, odwiedzinami pociotów, odstępowała męża. Franciszek już o nic nie pytał, nie sprawdzał świata jej słowami, nawet na świat nie patrzył, bo oczy miał zmrużone, tylko go w sobie trawił razem z kapuśniakiem—i tak się wielce nasycał.

Co sobota Franciszkowa szorowała podłogę; przed Zielonymi Świętami bieliło się kuchnię; za czasów drewniaka gacili ściany w listopadzie; zawsze na doroczne okazje Franciszkowa piekła placki. Ale to były czynności narzucone przez sąsiadów i przez zimę. Własne życie Franciszków toczyło się po dworze, co dnia od tej chwili, kiedy—rzuciwszy klucz na belkę—ruszali w ogród.

Przed wieczorem przychodziła Franciszkowa ze sprawozdaniami. Jej wejście — nieodmiennie na palcach, nawet wtenczas kiedyśmy mieszkali w chałupinie ze spróchniałą podłogą—odbywało się wśród ambasadorskich subtelności.

Skubiąc brzeg fartucha, Franciszkowa stawała w przyzwoitym odstępie, najchętniej przy piecu, i swoim dudniącym, niskim głosem odsłaniała rąbki tajemnic. Czy nasturcje wzeszły, czy dalie kiełkują, które róże wymarzły, czemu groszki nie chcą się wspinać i gdzie pawica Matylda ukleciła gniazdo.

Mówiła oględnie, powoli, badając efekt sprytnymi spojrzeniami, jak gdyby przygotowana na nieobliczalność istoty, która dni spędza z piórem w ręku.

Dwa razy tylko Franciszki przyszły oboje. Dwa razy widziałam ich nieszczęśliwych. Z powodu turkuci i z powodu chłopaków. Któregoś lata turkucie podjadły najpiękniejsze mieczyki; innym razem chłopcy z miasteczka ukradli jaja Matyldzie.

W obu wypadkach Franciszki—stwierdziwszy stratę—stanęły przede mną blade, zgnębione, nie znajdujące słów dla swojego wzruszenia.

Wyprowadzili mnie na miejsce klęski. Franciszek, taki powściągliwy, ona, taka cichogłosa—krzyczeli. I przed dołkami w trawniku, skąd powyrywali zepsute cebulki, i nad zrabowanym gniazdem łapali się za głowę, sto razy obracali na mnie wzrok pytający, to znów klękali i przyglądali się pustce ze zgrozą.

Jedna z podgryzionych roślin ocalała; Matylda drugi raz złożyła jaja. Większych względów, niż dla tego kwiatu i dla pawiąt, które wykluły się w sierpniu, nie miały Franciszki nawet dla Teosi.

Teosia . . . Czyżby jej szkarlatyna wydała się im mniejszym ciosem od zbrodni turkucia i chłopaków? Nie byłam przy tym. Teosia chorowała zimą. Podobno Franciszki zachowywały się spokojnie. Może, wierząc w opiekę Boską nad ludźmi, nie czuli się tak za życie dziecka odpowiedzialni, jak za powierzone sobie cebulki i jaja. A może—bezgranicznie cierpliwi—płacz chowali na godzinę śmierci.

To oni z Teosią zostali na domowym progu.

Tyle już kwartałów, tyle mórz stanęło między nami odkąd odjechaliśmy na dwa miesiące pod Zamość!

Tego progu może już nie ma. Albo jakaś niemiecka rodzina na nim stoi. W takim razie Franciszkowa gdzieś o parę kroków, czy o parę mil dalej, ciągnie swoją opowieść o świecie, zginając kark przy ziemi, a Franciszek obok chrząka, kopie i przyświadcza.

Car Bajkalski, Sachaliński, Odeski nie odwiódł Franciszka od lubelskiej grzędy. Teraz niemiecki Antychryst sam przyszedł tę grzędę deptać i życie na niej trzebić.

Pamiętam pewną przedwojenną noc z księżycem tak wielkim, z zapachem lilij tak rozdzierającym, że nikt spać nie mógł, wszyscy błąkali się po trawnikach, siedzieli między drzewami, czekając co jeszcze się stanie.

Franciszkowa szła przez łąkę na palcach . . . Zatrzymała się, bezradnie opuściła ręce na fartuch. Ruszała białymi od blasku wargami, żadne słowo nie chciało jej służyć. Wreszcie, wskazując niebo, rzekła przerywanym głosem:

—Pan Bóg chce dobrze dla każdego stworzenia . . . Ale strach Pana Boga obrazić. . . .

Boże, który chcesz dobrze dla każdego stworzenia, daj znak tym, którzy płakali zżółkłego mieczyka i pustego gniazda, którzy nie chcieli podbierać kartofli, zanim nie wypełnił się czas dojrzałości, daj znak, że godzina sądu nad Antychrystem już blizka!

A jeżeli wojna, jak turkuć, podgryzie Teosię—odmień ich ziemskie szczęście na szczęśliwość wieczną.

Marja Kuncewiczowa
Zdobiła Janina Konarska



POLSKA 1940

VII.—Masa chłopska wobec najeźdzcy*

Masa chłopska wolniej reagowała na posunięcia niemieckie. Niemcy nigdy nie zdołali jej pozyskać i postawa wsi była na ogół zawsze bardzo patriotyczna, ale faktem jest, że we wrześniu 1939 r. rozgoryczenie było ogromne i wygadywano bardzo dużo.

Starsi chłopi, którzy poprzednią wojnę spędzili w armiach zaborczych, a zwłaszcza ci z b. armii austriackiej, którzy bili Włochów w Tyrolu, zdobywali góry albańskie a jeszcze przedtem wytrzymywali napór rosyjskiego "walca"—byli wprost zgorszeni tym, co się stało. Zaręczali, że gdyby im dano trochę karabinów, gdyby się na skraju swej wsi rozsypali w "szwarmlinii," to ich wsi Niemcy tak łatwo by nie wzięli. Młodzi, którzy szukając P.K.U. przewędrowali nieraz setki kilometrów i bardzo często widzieli chaos, dezorganizację albo i panikę, wrócili również zniechęceni i rozgoryczeni. Nie pojmując, co się stało, mówili czasem o zdradzie, przy czym "zdrajcy" to nie były jednostki lub pewne koła polityczne, lecz "panowie."

A z drugiej strony widziano ze zdziwieniem, że żołnierze niemieccy płacą za żywność, czasem zabierają na samochody wracających uchodźców, nawet zwalniają niektórych rolników z niewoli. Nie miała wieś wtedy jeszcze pojęcia, jak rządzić będą niemieccy starostowie, jakich okrucieństw dopuszczać się będzie Gestapo. Co do położenia gospodarczego, to o zbyt zboża, nabiału, ziemniaków nie było najmniejszego kłopotu, a widmo podatków państwowych i samorządowych zniknęło, zdawało się, zupełnie.

Ale po pewnym czasie nastroje wsi znów się zmieniły. Wrócili żywiciele rodzin z niewoli, inni wyszli ze szpitali, przybyli też ci, co w tej wrześniowej katastrofie najbardziej się rozpierzchli i najdłużej tułali. Opowiadali, jak to było i okazało się, że klęska nie była wynikiem "zdrady." Rozeszły się też pierwsze wieści o nowym rządzie polskim i tworzeniu polskiej armii w Francji. Jednocześnie zaczęły nadchodzić głuche wieści o aresztowaniach i egzekucjach na ziemiach zachodnich. Okazało się, że Niemcy biorą się nie tylko do Żydów, ale i do Polaków.

Przyszły potem co raz liczniejsze, a co raz bezwzględniejsze nakazy. Żądano dostarczenia żywności po niskich cenach, nie troszcząc się o to, czy chłop będzie mógł równie tanio kupić towary dla swego użytku, nakazano dokładną rejestrację inwentarza, uniemożliwiono jawny handel niektórymi artykułami. A że zapowiedziane surowe kary nie były pustą groźbą, o tym świadczyły co raz liczniejsze rozstrzeliwania za posiadanie broni. Mnożyły się też aresztowania dokonywane czasem na chybił trafił, na skutek bezpodstawnej denuncjacji lub po prostu dla zastraszenia, dla steroryzowania ludności. Wysoce dokuczliwe stały się też godziny policyjne, na wsi o wiele wcześniejsze, niż w miastach. A "wizyty" Niemców były wprawdzie po wsiach znacznie rzadsze, niż w miastach i miasteczkach, ale zato, gdy się pojawili w odludnej wiosce, to nieraz pozwalali sobie na to, czego by w miastach robić im nie wypadało.

Gdy tak w długie zimowe wieczory rozprawiano w chłopskich chatach na temat najeźdźców przybywali do wsi nowi goście: wysiedleńcy z Wielkopolski i Pomorza, potem także z innych ziem. Ci jeszcze dokładniej opowiedzieli, do czego Niemcy dążą i jak z Polakami postępują. Od naocznych świadków, od ofiar teroru dowiedziała się wieś, że wysiedla się nie tylko "panów," ale i chłopów, że wyrzuca się ich z ziemi, na której siedzieli od wieków, że zamyka się kościoły, rozstrzeliwuje i katuje polskich księży. Wtedy jeszcze bardziej pogłębiła się chłopska zawziętość i Niemcy ostatecznie stracili możliwość pozyskania sobie wsi, której zresztą nigdy po swej stronie nie mieli.

Stosunek chłopów do wysiedlonych ułożył się na ogół bardzo dobrze. A nie brakowało tu pewnych trudności. Gdy n.p. pod Sokołowem na Podlasiu wyładowano duży transport wysiedlonych z Rogoźna w Wielkopolsce, była przecież duża różnica między jednymi a drugimi w sposobie mieszkania, odżywiania się, zachowywania higieny. Jak w ciasnych, zawsze przepełnionych chatach chłopskich pomieścić tych, co mieli mieszkania jeśli nie kilkupokojowe, to w każdym razie względnie obszerne. Co i jak gotować w chałupach, w których zastawa stołowa była rzadkością a ziemniaki i kapusta głównym pożywieniem.

A jednak wysiedlonych przygarnięto i wielu z nich z wdzięcznością wspomina tę solidarność narodową, jaka się na wsi przejawiła. Na polecenie sołtysów płacono specjalny podatek w naturze: ten litr mleka dziennie, tamten jednorazowo centnar kartofli, jeszcze inny pięć kilo mąki. Rozumiano, że nie wolno dać braciom ginąć z głodu. Rozumiano też, że i ludność pobliskich miast, chociaż nie wysiedlona, znajduje się w trudnym położeniu i nie wolno zdzierać z niej skóry. Księża z ambon potępiali chciwość. Skutek jednak był czasem niewielki. Byli na wsi tacy, co wyzyskiwali sytuację i chcieli jak najszybciej powetować sobie długie lata kryzysowe, lata biedy i nędzy.

Na usprawiedliwienie ogromnego wzrostu cen żywności można by podać to, że i ceny artykułów przemysłowych ogromnie wzrosły. O naftę, nici, mydło było na wsi w Gen. Gubernatorstwie bardzo ciężko. To też chłop nieraz występował z propozycją handlu zamiennego: za szpulkę nici lub funt mydła da mąki czy masła ściśle tyle, ile wypadło by przed wojną.

Do handlu zamiennego wzięli się też Niemcy spostrzegłszy, że teror i brutalne rekwizycje jednak nie dają tyle, ile oczekiwali. Najpierw wymieniali jaja za cukier. Spostrzegłszy, że ta metoda daje dobre wyniki, postanowili rozszerzyć zakres wymiany. Wzamian za żelazo, nici, mydło—wieś miała dostarczać żywności do składnic, a celem rozwiązania trudności transportowych postanowili Niemcy stworzyć małe kolumny samochodowe (10-12 sztuk na powiat). Celem urabiania nastrojów wsi zaczęli wydawać pismo "Siew." Na wstępie—jak było do przewidzenia—religijny obrazek, trochę informacji z polityki z podkreśleniem potęgi Niemiec, a wreszcie fachowe wskazówki co do uprawy roślin przemysłowych, stosowania nawozów sztucznych i.td.

Nie można jednak powiedzieć, by Niemcy starali się specjalnie o pozyskanie chłopów. Nie, całemu narodowi wydali walkę, całe społeczeństwo polskie mają w pogardzie, więc i warstwa najliczniejsza musiała to odczuć. A chociaż nie jednakowy jest na wsi poziom kultury, nie jednakowa znajomość historii, to jednak i niszczenie zabytków polskiej kultury zrobiło na wsi wrażenie. Może chłop nie wiedzieć, jakie skarby zawierała Biblioteka Jagiellońska, może nie odczuwać piękna różnych obrazów, ale wie doskonale, kim był Kościuszko, którego pomniki (n.p. w Łodzi i Krakowie) barbarzyńsko zniszczono; wie o Grunwaldzie i Jagielle, słyszał o Mickiewiczu. Chłop nie jest nieczuły na walkę z kulturą, bo przecież i on się stawał jej współtwórcą i co raz obficiej z niej korzystał.

Z tych wszystkich powodów stosunek wsi do najeźdźców jest równie wrogi, jak stosunek miasta. Niemcy będą mieli sposobność przekonać się o tym, jeśli jeszcze tego nie widzą. jeśli jeszcze mają jakieś złudzenia, spowodowane może flegmatyczną na pozór postawą chłopa. Tak, chłop reaguje wolniej, lubi wszystko sumiennie rozważyć i przemyśleć, ale jego stosunek do okupanta nie mógł być inny, jak bezwzględnie wrogi.

Chłop się mniej denerwował, bo jest cierpliwy, bo umiał przetrwać długie okresy ucisku i biedy. Na wsi, z ust chłopa, po raz pierwszy usłyszałem zdanie, że wojna potrwa ze trzy lata. Sam wtedy, choć daleki od lekkomyślnego optymizmu, tłumaczyłem memu rozmówcy, że to chyba tak długo nie potrwa. A było to przed rokiem, gdy wszyscy wierzyli w rychłe zwycięstwa nad Renem. Chłop, z którym rozmawiałem, kręcił głową i jakoś w szybki koniec wojny nie wierzył. Takich było więcej. Przeszłość nauczyła ich cierpliwości. Są spokojni, katastrofa Polski na pozór mniej ich poruszyła, pracują na roli jak zwykle, ale w walce z wrogiem ich także nie zabraknie.

Uzbrajając się w cierpliwość wieś również tęskni do powrotu wojsk polskich. Rok temu, gdy już wieść o armii i Gen. Sikorskim szeroko się rozeszła, można było słyszeć taki bezpretensjonalny dwuwiersz:

Już słoneczko wyżej,
Sikoreczka bliżej.

Niestety, tamta wiosna jeszcze nie przyniosła wyzwolenia. Minął rok, w ciągu którego pomnożyły się mogiły, powiększyły się na wsi liczby wysiedlonych oraz ukrywających się przed branką, ale też w tych smutnych czasach zespolił się naród wewnętrznie, chłop jeszcze lepiej zrozumiał, że co w Polskę godzi, to i jemu zagraża i jeszcze lepiej uświadomił sobie rolę, jaką mu w nowej Polsce przyjdzie odegrać.

Stanisław Zatorski

* Por poprzednie artykuły cyklu: "I. Jak się po niej podróżuje," druk. w nr. 5, "Co się widzi z okna pociągu i na ulicy," druk. w nr. 7; "III. Co myśli i czuje społeczeństwo pod okupację," druk. w nr. 8; "IV. Warunki zarobkowe i aprowizacyjne," druk. w nr. 9; "V. Stosunek do okupantów," druk. w. nr. 10 "Polski Walczącej"; "VI. Stosunki narodowościowe," druk. w nr. 13 "Polski Walczącej."

Z okupacji sowieckiej: Artyści od godziny i od sztuki

Malarze podzieleni zostali na dwie kategorie: artystów twórczych, czyli t.zw. "*chudożników*" i malarzy odtwórczych, którzy wcieleni zostali do kooperatywy. Jeśli chodzi o kategorię pierwszą i jej odróżnienie od drugiej—to wspomnieć należy o swoistym rodzaju egzaminu, jakie władze sowieckie przeprowadziły. Zorganizowano mianowicie wystawę obrazów i rzeźb, w której mogli brać udział wszyscy zgłaszający się. Po zakończeniu wystawy znaczna część obrazów została zakupiona przez bolszewików do muzeów sowieckich. Autorzy tych obrazów zostali zaliczeni do kategorii twórców, wszyscy inni zaś do rzemieślniczej kooperatywy malarskiej.

Związek "*chudożników*" podlegał początkowo władzom centralnym ukraińskiej republiki rad w Kijowie. Był to okres zupełnego nieporządku i jałowości. Prezesem Związku mianowany jest niejaki Dimitrenko, Rosjanin, podobno artysta-malarz, o nader słabych kwalifikacjach malarskich. Poza nim wybrany został t.zw. *Or-kamitjet*, to znaczy komitet organizacyjny, składający się z kilkunastu Żydów ze Lwowa. Członkowie komitetu organizacyjnego stanowią elitę polityczną artystów plastyków we Lwowie. Najbardziej cenioną kwalifikacją jest wykazanie się pobytem w Berezie Kartuskiej.

Komitet zajmował się przeważnie dyskusjami politycznymi i nie miał czasu na zorganizowanie pracy malarzy i zbytu ich dzieł. Dopiero przed niedawnym czasem (jesień lub nawet zima 1940 roku) podporządkowano związek "*chudożników*" władzom centralnym w Moskwie i zapanował jaki taki ład i porządek. Nadeszły też zamówienia na portrety członków "politbiura" co daje znaczny dochód i od dawna było już załatwione dla kooperatywy rzemieślniczej.

Kooperatywa posiada inną organizację i władze. Kierownikiem jej jest niejaki S., żyd z Krakowa, były uczeń Akademii Sztuk Pięknych. Był on również w Berezie, posiada więc wielkie znaczenie i możliwości. Wszyscy członkowie kooperatywy obowiązani są pracować razem w jednej pracowni. Ustalony jest ścisły i surowy porządek pracy. Malarze muszą przychodzić do pracowni o oznaczonej godzinie i malować w ciągu 7 godzin. . . . W razie spóźnienia do pracy obowiązują te same przepisy, co i w innych instytucjach i przedsiębiorstwach sowieckich, mianowicie za pierwsze spóźnienia kary pieniężne, za następne i dalsze—kary więzienia. To samo grozi za opuszczanie się w pracy. Lekceważenie tych zasad powoduje niebezpieczeństwo podejrzenia o akcję sabotażową.

Jedynym tematem prac malarzy są portrety członków "politbiura," to znaczy 11 bolszewickich mężów stanu, których wizerunki są wszędzie wystawiane i reklamowane podczas świąt i wszelkich możliwych odświętnych okazji sowieckich. Do tego zespołu 11 bohaterów należą między innymi naturalnie poza Stalinem i Leninem, Woroszyłow, Mołotow, Kalinin, Kaganowicz i.tp. Portrety są produkowane na zamówienia trustów, które mają monopol na dostawę tych portretów różnym instytucjom, urzędom, przedsiębiorstwom i.td. Największą ilość zamówień zanotowano w okresie po zajęciu Besarabii, oraz po przyłączeniu krajów nadbałtyckich. Wtedy zamawiano dosłownie tysiące portretów.

Jest to produkcja znormalizowana i zestandaryzowana. Portret musi mieć 60 x 80 cm. wielkości i musi być wykonany specjalną bolszewicką techniką, mianowicie przez suche wcieranie farby olejnej na białym tle płótna. Płótna i farb dostarcza zarząd kooperatywy. Do wożenia tych "produktów" artystycznych skonstruowano specjalne samochody z ramami do ustawiania portretów o rozmiarach 60 x 80 cm.

Praca we wspólnej pracowni trwa od godziny 7 rano do 2 popołudniu. Wynagrodzenie za portret zależne jest od stopnia natężenia popytu. Początkowo w okresie Besarabii i państw nadbałtyckich ceny dochodziły do 200-300 rb. za sztukę. Potem, po namalowaniu paru tysięcy portretów, nastąpiła znaczna zniżka cen i płacono jedynie po 30 rb. Obecnie ceny spadały jeszcze bardziej i malarze otrzymują zaledwie po 17 rubli za portret. Kooperatywa przyjmuje również zamówienia na portrety i reklamy komunistyczne robione na płótnach i murach miasta.

Stać się członkiem kooperatywy jest rzeczą bardzo łatwą i można nim być mimo, że przedtem nie było się nigdy malarzem ani artystą. Oczywiście znacznie bardziej potrzebne są kwalifikacje polityczne, niż artystyczne, choć naturalnie bardzo wielu ludzi nie mających nic wspólnego z komunizmem z konieczności musi przyjmować na siebie barwę ochronną.

Członkowie kooperatywy, a obecnie również członkowie związku "*chudożników*" otrzymali specjalne legitymacje i pieczątki w paszportach, stwierdzające, że są członkami uprzywilejowanej klasy pracującej, co daje szereg bardzo istotnych korzyści, choćby w zakresie podatkowym, w wysokości komornego, opłat za elektryczność i.tp.

Relacja osoby, która niedawno temu, przybyła spod okupacji sowieckiej.

KONKURS FOTOGRAFICZNY "POLSKI WALCZĄCEJ"

Ogłaszamy niniejszym konkurs na cykl fotografij z walk i życia Armii Polskiej.

Konkurs jest otwarty dla wszystkich żołnierzy bez względu na rodzaj broni i bez różnicy szarż.

Cykl fotografij może dotyczyć którejkolwiek kampanii (polskiej, norweskiej, francuskiej, angielskiej) życia żołnierskiego w różnych ośrodkach i przekrojach. Winien jednak stanowić całość związaną t. zn. odnosić się bądź do jednego okresu walk, bądź do jednego środowiska, jednej jednostki wojskowej i t.d. Biorący udział w konkursie mogą swobodnie wybierać zasady czy hasła, któreby wiązały nadesłane zdjęcia w jedną całość (n.p. "przyjaźń polsko-szkocka," "jak spędziliśmy ostatnią Wielkanoc" i t.p.)

Cykl fotografij nie może liczyć mniej niż **6 zdjęć,** pożądane jest, aby nie liczył więcej **niż 12.**

Termin nadsyłania prac na konkurs fotograficzny upływa **z dniem 20 maja 1941 r.** Prace należy nadsyłać do wydawnictwa "Polski Walczącej" 5 Portugal Street, London, W.C.2.

Odbitki fotograficzne winny być wykonane możliwie starannie (na papierze kontrastowym, lśniącym) i w możliwie dużym formacie dogodnym do kliszowania.

Każda fotografia cyklu przesyłanego na konkurs winna być opatrzona godłem i numerem porządkowym. Do każdej przesyłki należy dołączyć zapieczętowaną kopertę z imieniem, nazwiskiem i dokładnym adresem. Na kopercie winno być powtórzone godło obrane przez stającego do konkursu.

Za najlepsze prace będą przyznane trzy nagrody pieniężne:

pierwsza nagroda: Ł 25.—
druga nagroda ... Ł 20.—
trzecia nagroda ... Ł 15.—

oraz kilkanaście nagród książkowych. Jury może nadto odznaczyć pewną ilość prac.

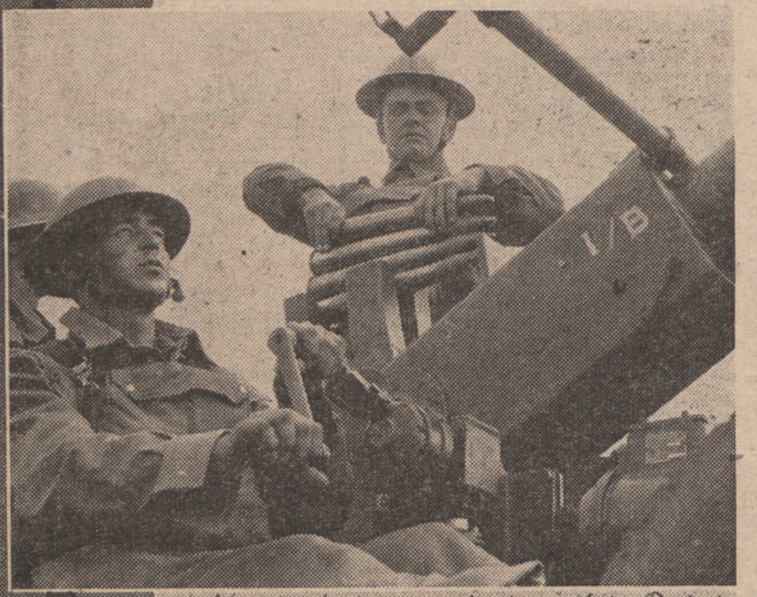
Nagrodzone cykle fotografij będą reprodukowane w "Polsce Walczącej" a po reprodukowaniu przekazane Archiwum Wojskowemu Sztabu N.W. Redakcja "Polski Walczącej" zastrzega sobie prawo reprodukcji prac nienagrodzonych i nieodznaczonych za zwykłym zwrotem kosztów wykonania zdjęć.

W skład jury konkursu wchodzą: **Eugeniusz Cękalski, Władysław Dziewanowski, Wojciech Jastrzębowski, Stefan Osiecki, Tymon Terlecki.**

Nasi towarzysze broni


Marynarz angielski


Nowozelandcy „Maori"


Kanadyjscy artylerzyści P. lot.


Artylerzyści z Malty


Lotnik australijski


Trębacze szkoccy w Egipcie


Piechur z Warwickshire

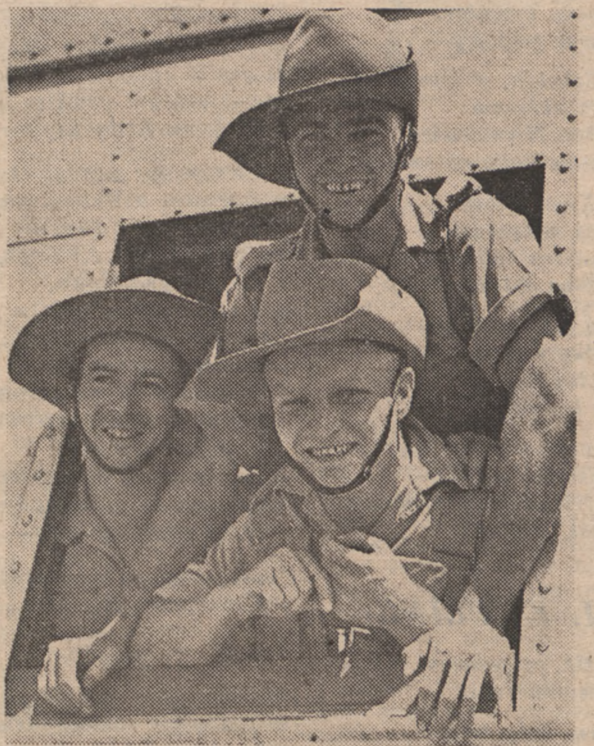

Murzyn kanadyjski




Legioniści arabscy


Mulnik z Cypru


Angielski milicjant w Palestynie


Strzelcy z Rodezji


Angielski pilot myśliwski


Indyjski żandarm w Egipcie


Strzelec irlandzki

Ułożył Stefan Osiecki

DŻENTELMEN

Wiadomo, że ambicją Anglika jest być dżentelmenem. Cóż to takiego ten dżentelmen? Wielu już ludzi męczyło się nad określeniem tego pojęcia—takie jest umkliwe.

Językowo i pierwotnie oznaczało ono człowieka wysokiego rodu, szlachcica. Łączono z takim pochodzeniem pojęcie rycerskości, siły charakteru, poczucia słuszności i dobrych obyczajów. Ale bardzo rychło spostrzeżono w Anglii, że herbowość rodu ani nie dowodzi, ani nie zabezpiecza posiadania tych cnót. A że były to zalety, które Anglicy z dawien dawna najwięcej cenili sobie w człowieku, przeto niebawem pojęcia szlachcica i dżentelmena wzięły rozbrat ze sobą i poszły odrębnymi drogami. Szlachcic pozostał przy herbarzu i sygnecie, dżentelmen zaś zdemokratyzował się, stał się tytułem dostępnym dla każdego, kto potrafił zachowywać się w życiu wedle pewnych wysokich wymagań i kto ujmował sobie ludzi powagą złączoną z wdziękiem.

Człowiek mocnego ducha, o silnym poczuciu słuszności, gardzący podstępem, odważny ale opanowany i nigdy nie brutalny, życzliwy drugim, choć nie wtrącający się do cudzych spraw, gładki w obejściu, ale unikający styczności z małością ludzką, wymagający dobrych obyczajów od tych, z którymi przestaje, ale pilnujący przede wszystkim nienaganności własnego postępowania, krótko mówiąc człowiek, z którym żyć jest i dobrze i godnie i bezpiecznie—taki, mówiąc z grubsza, jest dżentelmen. Jak widać, można pochodzić z ludu i być dżentelmenem, a można urodzić się szlachcicem i nigdy nie nauczyć się dżentelmenerii. Opowiadają o królu Jakóbie I, że gdy dawna jego niańka, prosta kobiecina i matka młodego nicponia, nagabywała go raz o stanowisko dla syna, odpowiedział jej: “Moja kochana, mogę zrobić twego syna baronem, ale sam diabeł nie zrobi z niego dżentelmena.”

To zdemokratyzowanie się dżentelmenerii w Anglii miało wielorakie następstwa. Przede wszystkim okoliczność, że słowa ‘będziesz dżentelmenem” stały się przykazaniem nie dla jednej pyszniącej się warstwy, ale dla całego narodu, nadała społeczeństwu angielskiemu ten osobliwy wygląd, który zjednywa mu tak wielki szacunek w świecie. Nie szperają tu, kto cię rodzi, i nie czapkują komuś dlatego tylko, że ma nazwisko ozdobione przydomkiem. Ale patrzą, i to bardzo bystro, na twe zachowanie się. I jeśli dostrzegą w nim cechy dżentelmena (a zważ, że są one dostępne każdemu człowiekowi z charakterem), to będą cię szanować, bez względu na to, gdzie stała twa kolebka i jak jest skrojone twoje ubranie. Jest rzeczą znamienną, że czego Anglik przede wszystkim oczekuje od swego króla, to żeby był wzorem doskonałego dżentelmena—wzorem tego, do czego *każdy* może a przeto i *powinien* się podciągać.

Niech nas nie myli fakt, że w Anglii jest tylu ludzi z tytułami, a to sir, a to lord, a to baron, wicehrabia, markiz itp. To nie są tytuły, które by można uzyskać jedynie przez szczęśliwe urodzenie z arystokratycznych rodziców, które by więc były klejnotem niedostępnym dla przeciętnego śmiertelnika. W Anglii dwa razy do roku król nadaje te tytuły ludziom zasłużonym, którzy własną pracą zdobyli ważne stanowiska w życiu społecznym. Można przytoczyć mnóstwo przykładów, jak to ludzie, którzy rozpoczynali jako skromni urzędnicy, adwokaci, lekarze, nauczyciele, subjekci sklepowi itp., otrzymywali w uznaniu swych zasług dla kraju owe dźwięczące tytuły. W szczególności jest zwyczaj, że sędzia londyńskiego Wysokiego Trybunału otrzymuje patent na szlachcica—piękny dowód szacunku, jakim w Anglii cieszy się wymiar sprawiedliwości.

Skoro w kraju tym dwa razy do roku otwierają się śluzy przed dopływem ludzi świeżo uszlachconych, przeto arystokracja nie stała się w Anglii zamkniętą kastą, siedzącą za swymi przywilejami zdala od życia szerokiego społeczeństwa. Grono arystokratów angielskich ciągle się odświeża i bogaci dopływem nowych ludzi, którzy pochodzą z różnych warstw ludności i z różnych zawodów, których zasługi są rozmaite, ale którzy wszyscy zyskali sobie uznanie jako niewątpliwi dżentelmeni. To też słusznie powiedział znakomity polityk angielski z połowy XIX.w., Disraeli, że “bywali w Anglii szlachcice, ale nie było nigdy szlachty.”

Następnie naród, który od *każdego* obywatela domaga się zalet charakteru zawartych w pojęciu dżentelmena, jest narodem ludzi wolnych, rozumiejących potrzebę dyscypliny, ale nie poddających się samowoli rządu. Na odwrót jasne, że pod rządami dyktatorów nie ma miejsca dla dżentelmenów, ludzi chodzących z głową do góry i patrzących prosto w oczy. Jak ktoś powiedział: “Próżno spodziewać się wychowywania dżentelmenów pod tyranią militarystyczną, której celem jest organizowanie brutalności. Dżentelmen-morderca, dżentelmen-ordynus rozpychający się wśród bezbronnych, dżentelmen-prześladowca, to rzeczy nie do pomyślenia. Dżentelmeni nie mówią o samolubstwie jako o rzeczy świętej, nie uważają, że celem rządu jest panowanie nad ludźmi skopanymi i nie zrzekają się własnego honoru i sumienia na rzecz awanturników, którzy opanowali maszynę państwową. A przeto też żaden dyktator, znający się na swym interesie, nie ścierpi krzewienia się dżentelmenerii pomiędzy swymi poddanymi.”

Wreszcie zobaczmy skutki w dziedzinie angielskiej polityki zewnętrznej. Jeden ze świetnych pisarzy współczesnych, szukając odpowiedzi na pytanie, jak się to dzieje, że niewielka wyspa brytyjska panuje nad tylu bezmiernymi obszarami świata, tak mówi: “Patrząc na tę wielką panoramę, jaką tworzą kolonie i protektoraty brytyjskie w krajach gorącego klimatu, widzi się przeróżne krajobrazy wysp i stałego lądu, portów i ujść rzecznych, otwartych brzegów morskich i ciemnych wnętrz lasów podzwrotnikowych lub szumiących preryj i wzgórz porosłych, jak parki. Nad tym wszystkim unosi się spokój, godziwość życia, swoboda słowa i uczciwość. Hałasy zamieszek europejskich i masakr na Wschodzie dochodzą zaledwie echem do cichych wzgórz afrykańskich. Ironia to dziejów, że ziemia, która wydawała się Europie krajem dzikim i tajemniczym, pełnym odrażających barbarzyńskich obyczajów i ofiar ludzkich, owianym atmosferą przesiąkniętą gnilnymi zarazkami febry i nagłej śmierci, ta ziemia teraz oddycha łagodnym powietrzem pokoju, podczas gdy Europa walczy przeciw próbom unicestwienia cywilizacji.

“Sprawiły to rządy brytyjskie. A nie spoczywają one na sile. Pięć tysięcy białej ludności w Nigerii nic nie znaczy wobec dwudziestu milionów tubylców. Brytyjskie siły zbrojne w koloniach i protektoratach są znikome w stosunku do niezliczonych milionów krajowców i nie potrafiłyby utrzymać tych obszarów bez dobrej woli, z którą rządy brytyjskie spotykają się wszędzie w życiu miejscowym. Podstawową ideą rządów brytyjskich jest teraz współpraca—nie podbój.”

Zdobyć życzliwość tego, nad którym ma się władzę, rozbroić jego oporność, *nie łamiąc jego charakteru*—tej sztuki dokazuje się zaletami dżentelmena, wplecionymi w politykę.

Pomyślmy teraz na chwilę, jakie są metody niemieckie—już nie wobec czarnych ludów, stojących na niewysokich jeszcze poziomach kultury, ale wobec społeczeństw europejskich, nad którymi zapanowali gwałtem. Pomyślmy, ile w tych metodach jest przecherstwa i najgorszego, bo ludzkiego, zezwierzęcenia. Jasne wtedy się stanie, że choć trudno określić dokładnie, kto jest dżentelmenem, to niesłychanie łatwo powiedzieć, kto nim *nie* jest: Niemiec.

Mieczysław Krotowski

MELODIE SZKOCKIE

I. ABBOTS HOUSE

Poświęcam Lady of Elgin and Kincardine.

Noc głęboka, czarna
w mroku pustych ulic—
i ten szept przestrzeni:
strzaskać świat, nie ulec. . . .

Wnęki bram rozwartych
—Ktoś tam jest, ktoś żyje,
głucha noc—i smętki
puste i niczyje.

Goni wciąż za tobą,
echo własnych kroków,
jesteś cały słuchem,
zaplątanym w mroku.

Cienie czarnych domów
ledwie ci majaczą,
chmury, ciągłym deszczem
łzawią wciąż, i płaczą—

Kanałami ulic
wbiega wiatr od morza—
i trwa, niewidzialna,
cicha ręka Boża.

* * *

Stary dom, kominki,
bukszpanowe meble,
wypolerowane
wiktoriańskim heblem,

srebra za witryną,
misterna robota,
i jest, oczywiście,
pokój Walter Scotta.

Od uliczki wieża,
wąskie, małe okno—
słowa, ryte w głazie,
nade drzwiami mokną. . . .

Abbots House—wiadomo,
że ruiny obok,
i że ogród sięga
w cmentarny czworobok,

i że dojrzysz kiedyś
w mgły jesiennej cieniu
koronkową gwiazdę,
ciosaną w kamieniu. . . .

A gdy kiedyś słońce
nad mgłą się rozżarzy—
zda ci się, że niebo
wbiegło tu, witrażem.

Abbots House.—Przetrwała
romantyczna dusza—
uśmiech dla Zygmunta,
smętek dla Juliusza—

ściśnie cię za rękę
poetycka wena—
Polak w battle-dressie
zagra ci Szopena—

wszystko ci, co ziemskie
przyśni się na opak,
nawet ten, za oknem
piętrowy sarkofag. . . .

Tyle myśli mętnych
wciśnie się do głowy:
że za oknem, cmentarz
jest jak plac golfowy—

—że ta Szkotka, w lounge'u
powie ci z ukłonem:
“stary Pan Niemcewicz
“przyjdzie z Palmerstonem,

“i sam Xiążę Adam
“może też przyjedzie—
“u Lady Strathallan
“był dziś na obiedzie” . . .

Wszystko jest możliwe—
Parki nitkę przędą—
i my, na tej ziemi
jesteśmy legendą. . . .

Wszystko tu, wokoło
ma ten dziwny profil—
like my friend from Command,
Sir Robert, bibliofil. . . .

II. KETLING

W ogrodzie, za pałacem,
kwitły jesienne róże,

za parkiem było morze
i wielki, srebrny balon
na niewidzialnym sznurze.

I senne ramię fiordu,
zamglone i błękitne,
i wielkich drzew skupiska,
i góry aksamitne,
i cały świat wokoło,
jak zeszłowieczny pastel,
stworzony, by w tych ramach
trwał cicho Broomhall Castle.

Ogromny dwór, kolumny,
rotonda na półpiętrze . . .
Otwiera się przed tobą
zjawione z Polski, nagle,
znajome z lat dziecinnych
starego dworu wnętrze.

Złudzenie, fiord i balon
—coś Polską tchnie, coś woła—
i meble takie same,
i ten sam świat dokoła,
i takie same twarze,
i ten sam uśmiech prosty—

I czytasz już to wnętrze,
pogodne, jak akrostych.

I nie chce ci się wierzyć,
na przekór racjom wszelkim,
że jesteś tu—nie w Polsce,
nie w starym polskim dworze,
a w domu Lady Elgin.

O niczym nie pamiętasz—
o morzach, o Wikingach,
patrzysz, czy z ram nie spojrzy
ku tobie twarz Ketlinga,
i nie popłyną słowa,
jak szara mgła, błękitne,
barwione tęczą, dworne,
wnikliwe, aksamitne—
—nad sceptr i nad koronę
wznoszące cień marzenia,
jak kwiaty ułożone,
w półtonach i półcieniach—
jaśniejsze od szmaragdów
owiane mgłą rubinów—

“przynoszę ci ten pierścień
“Ketlingów i Elginów . . .”

* * *

Mówisz coś o tym długo
w pędzącym samochodzie—
o twoich polskich dworach,
o Ketlingowym rodzie,

i mija pejzaż szkocki,
i Lady Elgin słucha—

i czarny świat przed tobą,
jak oczy złego ducha.

Edward Ligocki

O ANGLII I ANGLIKACH

DYSKUSJA NAD CELAMI WOJNY—REALIŚCI I MARZYCIELE—ZŁUDZENIA CO DO NIEMIEC—ZŁUDZENIA CO DO ROSJI

Dyskutuje się dzisiaj w Anglii szeroko nad tzw. celami wojny. Roztrząsa się obszernie sprawę urządzenia świata powojennego. Dla nas, Polaków, dyskusja tego rodzaju jest wielce pouczająca. Musimy zapoznać się z tym, *co i jak mówią w Anglii o tych sprawach*. Jesteśmy bowiem jednym z najbardziej zainteresowanych lokatorów tego domu, który Anglia chce postawić po wojnie w oparciu o państwa sprzymierzone.

* * *

Powiedzmy sobie szczerze, że na polu tej dyskusji w Anglii wiele jest rzeczy *bałamutnych*, wiele głosów, które mogą niepokoić, wiele głosów, które muszą boleć nas, Polaków. Ale nie powinniśmy się nadmiernie przejmować głosami krytyki, wynikającej często z prostej nieznajomości: już Chesterton powiedział kiedyś, że o Polsce piszą w Anglii ludzie, którzy jej nie znają a często ci co piszą—nie są rdzennymi Anglikami. Nie przypuszczajmy, że tak to łatwo ocenić cudzy punkt widzenia. Nie żądajmy cudów: Anglia dopiero poznaje Polskę. Wiele jeszcze wody upłynie zanim Anglia Polskę oceni w pełni i doceni.

Tych, co dyskutują cele wojny i pokoju można by podzielić z grubsza na dwie kategorie: marzycieli i realistów.

Marzyciele chcieliby po wojnie ułożyć się jakoś z Niemcami, nie zamierzają narzucać Niemcom zbyt surowego pokoju, zamierzają nawet premiować “*pokojowe Niemcy*.” Ci marzyciele przypuszczają, że można będzie powrócić do ideałów rozbrojenia, że Europę można będzie puścić luzem i że wszystko potoczy się jakoś dawnym torem.

Realiści przewidują poważne zmiany w organiźmie Europy, wstrząsy i rewolty. Uważają oni, że Rzeszę trzeba raz na zawsze unieszkodliwić—raz na zawsze, a zatem przynajmniej na dwa pokolenia. Każde pokolenie nie może dawać z siebie krwi na to, by rozprawiać się z Rzeszą. Takiej kuracji Europa nie zniesie.

Realiści doradzają zatem zupełne rozbrojenie Rzeszy, rozbicie przemysłu wojennego Niemiec, utrzymanie zbrojeń morskich i powietrznych Anglii na uczciwym poziomie oraz utworzenie na Wschodzie Europy prawdziwego bastionu przeciwko Rzeszy.

Do rzędu tych realistów należy m. in. F.A. Voigt, redaktor znakomitego miesięcznika “*The XIXth Century*,” autor świetnej w każdym calu książki “*Unto Caesar*.” W numerze lutowym swojego miesięcznika powiada on bez osłonek, że “słaba Polska jest czynnikiem niepewności w Europie.” Domaga się on silnej Polski, uzbrojonego Wschodu Europy.

* ° *

Tak jak istnieją w Anglii złudzenia na temat Rzeszy, tak istnieją złudzenia na temat Rosji. Są one wcale silnie zakorzenione i trzeba się z tym poważnie liczyć.

Wynika to z faktu, że inteligencja angielska a jeszcze więcej *pół-inteligencja*, widzi od lat w Rosji czynnik potężny, egzotyczny zarazem, uważa komunizm sowiecki za rzecz ciekawą, prawie dobroczynną (oczywiście dla Rosji, nie dla Anglii). Rosja posiada wielu zwolenników, pojęcia o Rosji są wielce fałszywe, propaganda sowiecka w Anglii nader zręczna, zabiegliwa, energiczna.

W tych warunkach inteligent angielski nie bardzo rozumie czemu Polacy n.p. mają tyle uraz do Rosji, dlaczego mówią o swoich kresach, dlaczego nie lubią Rosji, dlaczego uważają, że Polska jest w stanie wojny z Moskwą. Wielu pisarzy brytyjskich sympatyzuje otwarcie z Rosją. Są pisma, organy gdzie słowa na Rosję powiedzieć nie można, gdzie się utrzymuje mit sowiecki i liczy na to, że Rosja zaatakuje Niemcy (chociaż dotychczas Sowiety tylko pomagają Rzeszy m. in. przez dostarczanie Niemcom bawełny, wełny, miedzi i innych surowców zakupywanych dla Rzeszy w Stanach Zjd.—ta sowiecka *luka w blokadzie* jest co raz bardziej niepokojąca).

Mit rosyjski nie prędko pryśnie, chyba—że postara się o to Hitler. Gdyby Hitler runął na Rosję, wówczas należy się spodziewać szybkiego obalenia legendy rosyjskiej. Finlandia nie wystarczyła Anglii. Być może jednak, że i zachowanie Rosji w sprawie tureckiej otworzy oczy rusofilom angielskim.

Anglicy są realistami. Musimy zatem przyjąć, że same wypadki przekonają ich lepiej, aniżeli wszelka dyskusja, jaka jest siła Rosji i czy można Rosji zaufać.

Na razie musimy pogodzić się z tym, że istnieje w Anglii sporo złudzeń sowieckich. Marzyciele z lewej strony są czynni. Wydaje się jednak, że obie klasy marzycieli—tych z pod Berlina i tych z pod znaku Kremla—polegną na polu walki: w wojnie, która niszczy wszystkie złudzenia słabych i źle poinformowanych.

Antoni Jawnuta

Poprzednik Wavell'a

27-go czerwca 1917-go roku krążownik "Bristol" zawinął do portu w Aleksandrii. Na pokładzie jego znajdował się gen. Edmund Allenby ze sztabem, mianowany właśnie przez Lloyd George'a, ówczesnego premiera W. Brytanii, dowódcą Egipskiego Korpusu Ekspedycyjnego.

Sytuacja wojenna na wszystkich frontach pierwszej Wojny Europejskiej przedstawiała się dla Aliantów jak najfatalniej. Rosja załamała się jako czynny sprzymierzeniec i histeryczne oracje Kiereńskiego nie mogły w żaden sposób skłonić zdemoralizowanych żołnierzy do podjęcia ofensywy. Na zachodnim froncie armie francuskie zbuntowały się po efekciarskiej i nieprzemyślanej ofensywie kwietniowej Nivelle'a i utknęły w błocie. Angielski odcinek frontu szamotał się w okolicach Arras i na gliniastych polach Passchendaele. W basenie śródziemnomorskim tak samo nie było powodów do radości. Na froncie salonickim Kanadyjczycy, "terytoriale" z Londynu i francuskie pułki kolonialne marły od malarii i kul piechoty bułgarskiej. Tamtejszy dowódca Sarrail, generał polityczny przedpokojów Paryża, okazał się całkowitą miernotą i marnował swoje oddziały w bezsensownych manewrach.

W Niemczech mimo, iż przystąpienie, tymczasem platoniczne, Stanów do wojny wywołało falę przygnębienia, upadek Rosji i zwolnienie olbrzymich mas z tego frontu, dodało Ludendorffowi otuchy w przygotowaniach do decydującego uderzenia. Tym bardziej, że Turcja po raz pierwszy od czasu heroicznej obrony Gallipoli stała się czymś więcej, aniżeli tylko krępującym partnerem państw centralnych. Załamanie się Cesarskiej Rosji zwolniło kilkadziesiąt dywizji tureckich i zanim Enver Pasha, ówczesny właściwy dyktator Turcji, nie posłał ich na zdobycie Kaukazu, wydawało się, iż wzmocnią one front palestyński. Wzmocnienie jego oznaczało dla Anglików jedno niebezpieczeństwo, ale za to pierwszorzędnej wagi—przecięcie Kanału Suezkiego, życiodajnej arterii całego Imperium Brytyjskiego.

Sytuacja wojskowa wojsk brytyjskich w tym rejonie nie przedstawiała się świetnie w czerwcu 1917-go r. Wprawdzie oddziały obrony Suezu wyparły Turków z pustyni Synajskiej, ale dowódca Egipskiego Korpusu Ekspedycyjnego, Sir Archibald Murray, taką bowiem nazwę nosiła ta armia, mimo dwukrotnych prób nie zdołał zdobyć Gazy, klucza Palestyny tureckiej i działania wojenne prawie ustały. W piaskach Arabii buszował wprawdzie legendarny Lawrence, pół-zagończyk i partyzant w wielkim stylu i pół-szarlatan, ale zrywanie torów kolejowych i podburzanie rodu Husseina przeciw Turkom nie mogło mieć większego znaczenia, tak długo, jak od czoła, w Palestynie, nie tylko że nic się nie działo, ale zapowiadało się na nową ofensywę turecką.

W podobnej sytuacji gabinet londyński, czyli Lloyd George, zdecydował powierzyć dowództwo cokolwiek skompromitowanego frontu Edmundowi Allenby, dotychczasowemu dowódcy 5-ej Armii we Francji, noszącemu w Armii Brytyjskiej wyraziste i nieżyczliwe przezwisko "Buhaja."

* * *

Jedynym z powodów decyzji premiera była ogólnie znana antypatia, jaką dla przyszłego pogromcy Turków żywił Naczelny Wódz armii brytyjskich, Sir Douglas Haig. Nie był on zresztą w swoich sądach odosobniony. Sztaby pospołu z "linią" drżały przed wybuchami gniewu groźnego generała kawalerii, który z macierzystego pułku, Dragonów *Inniskilling*, przyniósł nie tylko dokładną znajomość fachu wojennego, ale i niezmiernie służbisty stosunek do regulaminu służby wewnętrznej i polowej. Popędliwy i gniewny charakter pospołu ze zwalistą postacią i regularnymi rysami twarzy olbrzyma, Allenby odziedziczył po przodkach, wśród których znalazł się inny kawalerzysta znany z historii Anglii—Oliver Cromwell.

Karierę wojskową obrał on dość przypadkowo. Po nieudanych egzaminach wstępnych do administracji cywilnej Indii, przyszły wice-hrabia Megiddo syn bardzo średnio zamożnej rodziny ziemiańskiej, dostał się do akademii wojskowej w Sandhurst i po chwalebnym ukończeniu studiów uzyskał w 1882 r. przydział do Dragonów *Inniskilling*, stacjonowanych wówczas w Afryce Południowej. Przydział był równie przypadkowy, jak obiór zawodu: *Inniskilling* był jednym z "tańszych" pułków kawalerii i nie wymagał od młodych podporuczników posiadania fortuny osobistej.

W owych latach służba w kawalerii angielskiej była bardzo awanturniczym trybem życia. Pułki jej były rozrzucone po egzotycznych częściach świata, na pograniczu Indii, w Afryce, gdzie przed wprowadzeniem broni maszynowej tubylcy byli co najmniej równym przeciwnikiem angielskich dragonów, huzarów i ułanów. Na trzy lata przedtem Zulusi zadali w tejże samej Afryce Południowej szereg dotkliwych porażek Anglikom. Wówczas właśnie zginął jedyny syn Napoleona III, *Prince Imperial*, oficer królowej Wiktorii.

Przez następnych 20 lat, aż do 1902 r., momentu ostatecznego poddania się Burów, Allenby brał czynny udział we wszystkich prawie kampaniach na tym terenie. Działania wojenne posiadały tam bardzo swoisty charakter. Olbrzymie przestrzenie pustyni, dżungli i gór. Gorąco, przebiegły i dokładnie obznajmiony z terenem nieprzyjaciel, czy to będzie wojownik konfederacji Zulusów, czy osadnik burski. Wojna w takich warunkach wymagała od dowódców wyjątkowo zimnej krwi, błyskawicznej orientacji, całego szeregu zalet inteligencji i charakteru mniej widocznych w wojnie pozycyjnej. Najmniejsze niedbalstwo, zaniedbanie śmiesznych na pozór środków ostrożności, niewykazanie inicjatywy w porę i we właściwym terenie kończyło się klęską, zaprzepaszczeniem żołnierzy, nieobliczalnymi skutkami dla całości kampanii nawet.

Dowództwo angielskie po trzech latach krwawych porażek i kilkakrotnych zmianach generałów zrozumiało lekcję wojny kolonialnej na wielką skalę. Allenby wychowany w terenie nie potrzebował bolesnych nauk. Szwadron jego, a pod koniec wojny burskiej grupa operacyjna, dokonywała niebezpiecznych zadań, ponosząc minimalne straty. Przy zawieszeniu broni, jako podpułkownik z ukończoną w międzyczasie Akademią Sztabu Generalnego, był on jednym z najlepszych oficerów brytyjskich.

Warunki służby początkowej i wrodzone skłonności czyniły jednak z niego twardego zwierzchnika. W miarę awansowania, a to postępowało szybko i w r. 1914 był już dowódcą dywizji kawalerii, pedanteria rosła i wzmagały się wybuchy słusznego zresztą, ale przerażającego podwładnych gniewu. Tym bardziej, iż Allenby nigdy nie dbał o to, co inni o nim pomyślą. Piękne zalety charakteru i wielka inteligencja w połączeniu z ogromnym oczytaniem i gruntownym wykształceniem były tajemnicą dla całego nieomal że świata. W listach do żony z Afryki Południowej Allenby opisywał z pietyzmem znalezione kwiaty i zaobserwowane termity. Już jako dowódca Armii na zachodnim froncie codziennie odwiedzał małą dziewczynkę w szpitalu, której niemiecka bomba urwała nogę. Mimo to ogół widział w nim antypatycznego służbistę i awanturnika w generalskim mundurze.

* * *

Wybuch pierwszej Wojny Europejskiej zastał Allenby'ego na stanowisku inspektora generalnego kawalerii. Na front poprowadził pierwszą i jedyną zresztą w tym czasie dywizję kawalerii. Mimo znakomitego dowodzenia powierzonym sobie wojskiem w dalszym ciągu nie potrafił jednak zaskarbić serca swoich podwładnych. W największym ogniu, podczas walk odwrotowych, dowódca dywizji potrafił osobiście łajać żołnierzy i stawiać ich do raportu karnego za to, iż nie mieli podpinek pod brodą. Rozumowanie i przesłanki były całkowicie słuszne. W sierpniowym upale Francji zgubienie czapki groziło przynajmniej ciężkim bólem głowy i osłabieniem.

Allenby wojny nie cierpiał i nie cierpiał "drylu," ale rzemiosło to było jego zawodem. Najpoważniejsze zagadnienia i banalne szczegóły należało wykonywać z jednakową starannością. Były to wszystko części codziennej pracy, którą należało wykonać z największą starannością. Kiedyś powiedział on jednemu ze swoich podkomendnych: "Nie potrafię wybaczyć człowiekowi przyłapanemu na niedbalstwie. Każdemu zdarzy się ulec przeważającej sile, ale nieprzygotowanie się wedle najlepszej możliwości jest rzeczą niedopuszczalną."

Krzyki generalskie o szczegóły i o rzeczy istotne spotykały nie tylko żołnierzy. Przytrafiało się to i podległym mu brygadierom. Allenby nigdy nie zwracał uwagi na rangę człowieka. W tejże samej mierze jak dbał o dobrobyt i



Generał Wavell
rys. Jan Rościszewski (Tom Titt)

dobre samopoczucie oficerów i żołnierzy, w tejże samej mierze—jeżeli uważał że jest to słuszne—udzielał im nagan. Jakie to były nagany może świadczyć fakt, iż jeden z podległych mu pułkowników zemdlał przy raporcie.

Kiedy objął on naczelne dowództwo na Bliskim Wschodzie, adiutanci mniejszych jednostek przebłagali szefa łączności w Sztabie Dowództwa żeby zawiadamiał ich, kiedy generał będzie wyjeżdżał do nich na inspekcje. Ze względu na osobę wodza szef łączności zmiękł i kiedy Allenby udawał się nagle do jakiegoś zakazanego obozu, radio nadawało sygnał "B.L.," co znaczyło "buhaj zerwał się z uwięzi" (*bull loose*). Razem z tym Allenby darzył wielkim zaufaniem swoich podwładnych.

Po wydaniu dyspozycji stale powtarzał: "To są oczywiście rozkazy w ogólnym zarysie. W wykonaniu ich proszę nie trzymać się ustalonego wzoru," a co najważniejsze, nie miał za złe podwładnym, jeżeli ich sposób wykonania, naturalnie przy największym wysiłku i staranności, nie okazał się najlepszy.

* * *

Na froncie zachodnim Allenby'ego zarówno jako dowódcę najpierw dywizji, potem korpusu i wreszcie armii, cechowały dwie rzeczy: gruntowne orientowanie się w terenie i możliwościach i szybkość decyzji, zawsze prostej i logicznej, chociaż w wielu wypadkach nie liczącej się z ryzykiem i stratami.

W lipcu 1917 r. nowy zwierzchnik obszedł wszystkie podległe sobie biura w Kairze, wypytując każdego po kolei jaki jest zakres jego pracy i w parę tygodni później sztab Egipskiego Korpusu Ekspedycyjnego przeniósł się pod namioty "na front." Wszystkie przygotowania były ukończone. Na całym froncie palestyńskim od Gazy nad brzegiem morza aż do Beerneby wojska brytyjskie poszły do ataku. Dzięki mistrzowskiemu manewrowi silne pozycje tureckie zostały złamane i australijscy szwoleżerzy przeszli jak burza po idących w pierwszym rzucie tureckich gniazdach karabinów maszynowych. Turcy byli rozbici i kanał Suezki oswobodzony od groźby przecięcia.

Zbliżała się zima i deszcze i, opierając się na wzorach swoich kolegów z Francji, Allenby musiałby skonsolidować objęte tereny i czekać wiosny. Jednakże naczelna jego zasadą było walenie w rozbitego nieprzyjaciela aż do skutku bez oglądania się na ewentualne niebezpieczeństwa i trudy pościgu. Armia jego składająca się w znacznej mierze z kawalerii, zapuściła się też w wąskie przesmyki gór Judei wbrew zdawało by się zdrowemu rozsądkowi, a 11 grudnia Allenby wszedł do Jerozolimy. Seria niepowodzeń Aliantów nareszcie odwróciła się. Tymczasem nadeszły deszcze zimowe, wąskie drogi palestyńskie stały się nie do użytku i aż do marca 1918 r. operacje uległy całkowitemu nieomalże zawieszeniu.

We Francji podczas pierwszych miesięcy ostatniego roku wojny niebezpieczeństwo klęski znów zajrzało w oczy Fochowi. Dla zahamowania uderzeń Ludendorffa sprzymierzeni ściągają wojsko ze wszystkich stron. Allenby'emu naczelne dowództwo odbiera najlepsze dywizje, przysyłając na ich miejsce niewyszkolonych indyjskich rekrutów. Allenby ze wzorową lojalnością odsyła swoje najlepsze oddziały do Francji i mimo to ciągle prze na przód. Aż do sierpnia 1918 r. są to tylko operacje na mniejszą skalę. Armia Allenby'ego szkoli się intensywnie.

W tym czasie Szef Imperialnego Sztabu w Londynie, Sir William Robertson, ustąpił z zajmowanego stanowiska. Dla operacji wojennych na wschodzie miało to decydujące znaczenie. Robertson był zwolennikiem "zachodniej" koncepcji wojny. Zdaniem jego należało łamać Niemców na polach północnej Francji i osiągnąć zwycięstwo kosztem największych strat, ale też i najprostszym i najskuteczniejszym sposobem. Inne fronty miały dla niego drugorzędne znaczenie i starannie ogałacał je z lepszych dywizji na rzecz flandryjskich jatek armatniego mięsa.

Następcą Robertsona i bezpośrednim doradcą premiera w materiach wojskowych zostaje Sir Henry Wilson, wyznawca zupełnie przeciwnych założeń. Uważał on, iż najpewniejsze zwycięstwo nad państwami centralnymi da się osiągnąć uderzając je w najczulsze, bo najsłabsze miejsce—w Turcję. Allenby'emu nareszcie nadarzała się wymarzona okazja. Nareszcie będzie mógł uderzyć w nieprzyjaciela całą mocą kawaleryjskiego rozmachu. Tureckie oddziały składały się w tym czasie z trzech armii, 7, 8 i 4-ej wzmocnionej silnym kontyngentem niemieckim, dość słabo uzbrojonych, ale wyposażonych dostatecznie w artylerię, pod ogólnym dowództwem Marszałka Simona von Sanders Paszy. Razem było tego około 100,000 żołnierza. Rezerwowa armia turecka "*Yilderim*"—Piorun, zdobywała Kars, Batum i Tyflis i nie mogła wchodzić w rachubę.

Allenby posiadał przewagę liczebną i materiałową, ale wchodziła tu w grę—pustynia, największe niebezpieczeństwo szeroko zakrojonych manewrów. Allenby znał pustynię, a poza tym w decydującej chwili postawił na jedną kartę bezpieczeństwo olbrzymiej części swojej armii. Przedmiotem manewru zwanego "*bikos*" pod Megiddo było ni mniej ni więcej tylko unicestwienie tureckiej armii na Bliskim Wschodzie i w dalszej konsekwencji zmiażdżenie Turcji.

Sztab Allenby'ego był wstrząśnięty jego planem. Ostatecznie wojna ciągnęła się już przez cztery lata i doskonale mogła tlić się przez następnych cztery. Jeden z oficerów zapytał na ostatniej odprawie jaki jest ostateczny przedmiot natarcia, po osiągnięciu którego nastąpi umocnienie zdobytego terytorium. Allenby odpowiedział jednym słowem: "Aleppo." Zebranym oficerom musiało to brzmieć podobnie jak gdyby na odprawie brytyjskiego Sztabu w lutym 1941-go roku za przedmiot natarcia lądowego, które ma się rozpocząć jutro, postawiono Akwizgran czy Kolonię.

O świcie 19 września 1918 r. armia brytyjska przeszła do natarcia. Bitwa pod Megiddo rozpoczęła się. Zaskoczenie było kompletne. Anglicy posuwali się na przód jak powódź. Niektóre oddziały brytyjskie, jak np., 4-ta i 5-ta dywizja kawalerii w przeciągu 34 godzin posunęły się—w ciągłej styczności z nieprzyjacielem—na przód o 140 klm. W przeciągu pierwszych 24-ch godzin szwoleżerzy australijscy byli w Nazarecie, miejscu postoju tureckiego, a raczej niemieckiego naczelnego dowództwa. 20-go września 7 i 8-a armia turecka były rozdzielone i otoczone. 26-go września nie było ani jednego Turka w Palestynie. 1-go października Turcja złożyła broń.

Na pustyni, tak jak na morzu, strona przegrywająca nie ma możności wyratowania chociażby części swoich sił. Klęska oznacza unicestwienie. Podczas bitwy pod Megiddo Turcy stracili 75,000 żołnierza w zabitych, rannych i jeńcach i 360 dział. Straty brytyjskie wyniosły 5,000 ludzi—niewielka cyfra, jeżeli się uwzględni fakt, iż Anglicy posunęli się na całym froncie o 600 klm. na przód. Allenby został w nagrodę zasług wice-hrabią Megiddo i Felixtowe i marszałkiem. Za pięcioletnie kłótnie i intrygi wynikłe z podziału masy spadkowej po Imperium Ottomańskim nie ponosi on najmniejszej odpowiedzialności.

* * *

Zasługi i zalety Edmunda Allenby ze szczególną wyrazistością stanęły przed oczami W. Brytanii podczas zaciemnionych miesięcy minionej zimy. We wrześniu ubiegłego roku ukazała się książka poświęcona jego działalności pod tytułem "Allenby — studium geniuszu" (*Allenby— a study in greatness*) (*G. G. Harrap and Co., London, 18s.*). Pomijając wielki talent z jakim jest ona napisana, bardzo ciekawy temat jej i staranne wydanie, jednym z istotnych powodów jej poczytności, jest osoba autora. Jest nim Sir Archibald Wavell, naczelny wódz zwycięskiej armii brytyjskiej w Afryce, a illo tempore członek sztabu Allenby'ego.

Książka, jak wynika z przedmowy, została ukończona ubiegłego roku w Kwaterze Głównej "gdzieś na Bliskim Wschodzie," czerwiec, 1940 r. Odwrót z Norwegii, Dunkierka, kapitulacja Francji, przedsmak klęski. Mimo to naczelny wódz jednej z najważniejszych armii znalazł czas i pogodę ducha na pracę literacką. Co więcej, sprawy bieżącej chwili nie zwróciły go z obranej drogi rzeczowego i bezstronnego opowiadania, pełnego humoru a całkowicie pozbawionego pozy i blagi. Allenby wychodzi obronną ręką z pod pióra podwładnego i następcy. Nie dlatego jednak żeby jeden generał pisał hagiografię o innym generale, nie dlatego żeby zachodziła konieczność histerycznego "pokrzepiania serc." Po przeczytaniu książki nabieramy sympatii dla Zwycięzcy Pustyni dlatego, iż naprawdę był wielkim generałem kawalerii i wspaniałym człowiekiem mimo krzyków i formalizmu i codziennych ludzkich ułomności.

Wartość książki polega jeszcze na czymś innym. Autor jej zachowuje skrupulatną anonimowość i nie zaczyna wspomnień o kimś innym od pieśni pochwalnej na cześć własnej osoby. Mimo to, w świetle ostatnich wypadków ukazuje się ona dziwnie wyraziście. Wszystkie oszczędnie szafowane i tym cenniejsze pochwały Wicehrabiego Megiddo jako wodza odnoszą się do zwycięzcy z pod Bardii, Sollumu, Sidi Barani, Tobruku i Derny. Ta sama genialna w prostocie swojej koncepcja strategiczna, to samo błyskawicowe wykonanie planu kosztem nielicznych strat, ten sam niepowstrzymany pęd na przód.

Angielskie pułki zachowały nie tylko galowe mundury z dawnych czasów, zachowały również dawnego ducha. 15 Lutego 1900 r. dywizja kawalerii gen. French'a dokonała wariackiej szarży na burskie pozycje pod Kimberley, uwieńczonej niewiarygodnym skutkiem. Wśród szarżujących znajdował się major Allenby. 18 września pod Megiddo konne dywizje generała Allenby dokonały wielu ryzykownych szarż wśród skał Palestyny. Wśród szarżujących znajdował się major Wavell.

W styczniu 1940 r. armia generała Wavell'a dokonywuje jeszcze więcej szarż, w jeszcze gorszym terenie, z równie dobrym, jak poprzednim, skutkiem. Niewątpliwie w oazie Jurabub i pod Apolonią znajdują się nieznani dziś jeszcze z nazwiska majorowie, którzy gdzieś, kiedyś, będą szarżowali z równym powodzeniem.

W Anglii czasy i warunki zmieniają się tylko. Ludzie pozostają ci sami.

Czesław Jeśman

Jugosławia—wczoraj i dziś



Na filmie przedstawiającym morderstwo króla Aleksandra widać niskiego człowieka, który biegnie z całych sił ku automobilowi królewskiemu. Człowiekiem tym jest ówczesny minister spraw zagranicznych, przedtem minister dworu, Jevtić—przyjaciel i powiernik króla. Później podczas całego długotrwałego procesu przed Ligą Narodów (nie pamięta się już dzisiaj, że gdyby nie Liga i niestrudzona praca *"rapporteur'a"* Rady Ligi, Antoniego Edena, wojna węgiersko-jugosłowiańska była wówczas, w 1934 roku, prawie nieuknininiona) znowu Jevtić reprezentował Jugosławię. Później był premierem, a szwagier jego, jenerał Żyvković prawie dyktatorem. Jeszcze później, w roku 1938 Jevtić był właściwie więźniem. Nie dochodziły ani listy pisane do niego, ani listy przez niego wysłane i nawet w Genewie Jugosłowianie, którzy chcieli pewne wiadomości od Jevtića zakomunikować jego przyjaciołom starannie zamykali drzwi, sprawdziwszy uprzednio, czy za drzwiami nie ma nikogo. Dzisiaj w rządzie jenerała Simovicza Jevtić znowu jest ministrem. Polityka króla Aleksandra, króla-bohatera odżyła.

Te skrajne wahania polityki jugosłowiańskiej tłumaczą się w znacznej mierze jej sytuacją wewnętrzną.

Traktat pokojowy z Austrią i Węgrami nie został podpisany przez Jugosławię. Takiego państwa wówczas nie było. Było Królestwo S.H.S.—Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Tak samo jak podstawą dla nowego państwa czechosłowackiego była umowa przeszburska między Czechami i Słowakami, tak samo nowe państwo południowo-słowiańskie powstało na podstawie umowy między Chorwatami, Serbami i Słoweńcami. Stary premier serbski, Pasić, jeden z najwytrawniejszych polityków XIX-go wieku i przywódca Chorwatów, Trumbić, byli na równi przedstawicielami nowego państwa. I założeniem było, że Chorwacja będzie nie tylko równouprawniona, ale że będzie nadto miała i zupełny samorząd.

Nie poszło jednak tak gładko. Stosunki serbo-chorwackie nie ułożyły się należycie. Chorwaci, katolicy, używający łacińskiego pisma uważali się za przedstawicieli kultury zachodniej, za coś lepszego od chłopów serbskich, prawosławnych, piszących cyrylicą. Serbowie znowu uważali, że im jako przedstawicielom państwa niepodległego, jako tym, co walczyli i wywalczyli wielkie państwo, w państwie tym należy się pierszeństwo.

W roku 1928 doszło do dramatu. Raszić, poseł z Czarnogóry, na posiedzeniu parlamentarnym wyciągnął rewolwer i zastrzelił trzech posłów chorwackich, między nimi przywódcę Chorwatów, Stefana Radića. Zagrzeb zawrzał. Stosunki serbo-chorwackie doszły do ostatecznego naprężenia. I to było powodem, że w roku 1939 król Aleksander zawiesił konstytucję i objął faktyczną dyktaturę w nadziei, że uda mu się jakoś do jedności Jugosławii doprowadzić.

Brak jedności wewnętrznej był tym groźniejszy, że Jugosławii groziły niebezpieczeństwa i z zewnątrz. Pierwsze, najstarsze z nich udało się królowi Aleksandrowi zażegnać. Z Bułgarią zawarł pakt. Tym samym przestało istnieć niebezpieczeństwo macedońskie. IMRO, słynna macedońska organizacja terorystyczna straciła grunt pod nogami z chwilą, gdy z Sofii przestały napływać subsydia, z chwilą, gdy Bułgaria przestała być schronieniem dla tych, którym się ziemia serbska zaczynała palić pod nogami.

Ale pozostawało i niezmiennie zagrażało niebezpieczeństwo węgierskie i niebezpieczeństwo włoskie. Węgry nie pogodziły się z utratą Chorwacji. I jak w Słowacji znaleźli sobie do pomocy ludzi, z drem Tuką, dzisiaj ministrem Słowacji Hitlerowskiej, na czele—tak samo i w Chorwacji potrafili zorganizować ruch "niepodległościowy." Stefan Radić i następca jego dr. Maczek żądali dla Chorwacji autonomii (samorządu), ale żądali tej autonomii w ramach państwa jugosłowiańskiego. Frank, były oficer węgierski, przywódca "niepodległościowców" chorwackich żądał zupełnego oderwania się od Serbii. Ante Pavelić przygotowywał wystąpienie zbrojne. W obozie węgierskim Janka Puszta, a i w innych tymczasem kształcono terorystów chorwackich.

Takie same obozy szkolne terorystów istniały i we Włoszech. Przymierze węgiersko-włoskie, skierowane przeciw Jugosławii datowało się od konferencji pokojowej. Włosi, którym Wilson i Lloyd George odmówili Dalmacji, obiecanej w 1915 roku, uważali Jugosławię za swego naturalnego wroga. Podczas rokowań pokojowych Węgry i pretensje węgierskie miały w baronie Sonnino najgorętszego adwokata.

Po wojnie podczas krótkiego okresu, gdy hrabia Sforza, dziś przywódca "Wolnych Włoch," był ministrem spraw zagranicznych, doszło w Rapallo do porozumienia włosko-jugosłowiańskiego. Mussolini jednak natychmiast po dojściu do władzy zwrócił znowu oczy na brzeg dalmatyński. Popieranie teroryzmu i separatyzmu chorwackiego wydawało mu się najprostszą drogą do rozbicia wspólnoty jugosłowiańskiej, a potem do uzyskania Dalmacji.

Na to trzeba jednak było usunąć króla. W październiku 1934 roku teroryści chorwaccy zastrzelili w Marsylii króla Aleksandra. Razem z nim zginął minister spraw zagranicznych Francji, Louis Barthou.

Dwie pieczenie upieczono przy jednym rożnie. Śmierć króla Aleksandra nie była co prawda sygnałem dla natychmiastowego rozpadnięcia się Jugosławii, ale znacznie skomplikowała sytuację. Śmierć Barthou zaś była katastrofą dla polityki francuskiej. Po Barthou bowiem przyszedł—Laval.

Aleksander jechał do Francji, by zacieśnić stosunki francusko-jugosłowiańskie. Barthou rozumiał, że państwa mniejsze są dla Francji najbardziej pożądanymi sprzymierzeńcami. To też, gdy Mussolini proponował mu przyjazd do Rzymu, celem "uporządkowania" stosunków francusko-włoskich, Barthou postawił za warunek uprzednie uregulowanie stosunków włosko-jugosłowiańskich.

Laval już o to nie dbał. Przede wszystkim postarał się, by w procesie morderców króla Aleksandra nie wspomniano o udziale rządu włoskiego w przygotowaniu morderstwa. Następnie pojechał do Rzymu, skąd wrócił tryumfalnie, jako człowiek, który odnowił przyjaźń francusko-włoską.

Wewnątrz Jugosławii śmierć króla Aleksandra początkowo spowodowała zaostrzenie kursu anty-chorwackiego. Wkrótce jednak zwyciężyła dążność pojednawcza do porozumienia. Jevtić, Żyvković, reprezentanci kursu centralistycznego znikli z horyzontu. Do władzy doszedł bankier, Milan Stojadinović, który jakoby miał się z Chorwatami porozumieć.

Bardzo prędko jednak okazało się, że był to pretekst. Stojadinović nie myślał o ustępstwach dla Chorwatów. Upojony powodzeniami Hitlera postanowił natomiast: 1) wzmocnić własną dyktaturę wewnątrz kraju, 2) przestawić zagraniczną politykę Jugosławii na inne tory.

W 1937 roku zawarty został układ jugosłowiańsko-włoski, polityka gospodarcza Jugosławii została przestawiona na dostawy do Niemiec. (Prawda, że Francja i Anglia nie rozumiały wtedy tego, iż chłop jugosłowiański musi zbyć swe produkty i nie ułatwiały importu z Jugosławii). Równolegle z tym szło rozluźnienie Ententy bałkańskiej i Małej Ententy. Na rozbiór Czech w roku 1938 rząd Stojadinovića patrzył obojętnie.

Naród jugosłowiański jednak nie zniósł tego. Nie chciał porozumienia z Hitlerem i Mussolinim, nie chciał rządów dyktatorskich. Opozycja przeciw dyktaturze, opozycja przeciw polityce zagranicznej spowodowała wreszcie porozumienie serbsko-chorwackie. Mimo niesłychanego nacisku administracji wybory roku 1939 dały zwycięstwo zjednoczonej opozycji.

Rząd Stojadinovića musiał ustąpić. Powstał rząd Cvetkovića, w którym chorwacki Witos, Maczek, objął tekę wicepremiera. Chorwacja otrzymała samorząd. Jednocześnie rząd ten na nowo nawiązał zerwane nici z Paryżem i Londynem. Stojadinović, pozbawiony władzy, zdemaskował się jako płatny ajent hitlerowski.

Trudno o lepszy dowód, jak zwycięstwa hitlerowskie zahypnotyzowały część świata jeśli właśnie ten rząd, rząd Cvetkovića i szczerego demokraty Maczka w końcu podpisał pakt z Niemcami.

Ale tak samo, jak w roku 1939 uratował sytuację naród jugosłowiański. Wtedy dla pozbycia się Stojadinovića wystarczyła karta wyborcza. Dziś trzeba było rewolucji. To, że była ona bezkrwawa jest dowodem, jak jednolicie naród cały odrzucił możliwość pójścia pod jarzmo niemieckie.

W roku 1939 mieliśmy zjednoczoną opozycję. Dzisiaj mamy zjednoczone narody Serbów, Chorwatów, i Słoweńców. I obok Maczka w tym samym rządzie zasiada dzisiaj Jevtić. Jugosławia zjednoczona walczy.

Michał Prozor

Przegląd polityczny

Wojna obecna, poza samolotem i tankiem, wprowadziła do akcji nowy czynnik, który można określić jako *propagandowo-psychologiczny*. Hitler opanował Trzecią Rzeszę nie przez zwycięstwo, *ale przez rozkład przeciwników*. O dojściu nazich do władzy zadecydował strach. Strach burżuazji niemieckiej przed bolszewizmem. Strach wielkich przemysłowców i kapitalistów przed poważnie grożącą socjalizacją fabryk. Strach socjalistów przed podjęciem bezwzględniej walki. Wreszcie strach komunistów, zarówno przed wyłamaniem się z pod niemądrych dyrektyw Kremlu, jak i przed walką na barykadach.

Te same przesłanki, które złożyły się na triumf hitleryzmu w Niemczech, zastosowano wobec wielkich i małych państw europejskich. Führer zdawał sobie sprawę z faktu, że jeżeli wojna światowa spowodowała ogromny ubytek energii w społeczeństwie niemieckim—to w jeszcze większym stopniu osłabiła te narody europejskie, na których ziemi miała toczyć się walka. Wiedział, że między psychicznym nastawieniem społeczeństwa niemieckiego przed 1933 a resztą społeczeństw Europy nie ma właściwie różnicy, że kraje te boją się rewolucji i nie chcą wojny, że po ogromnym upuście krwi będą dążyły za wszelką cenę do zachowania pokoju. Opierając się na tego rodzaju przesłankach o małej odporności duchowej ówczesnego Zachodu, rozpoczął atak na Wschód. Zajęcie Czechosłowacji, osiągnięte niemal wyłącznie przez zastosowanie walki nerwów i propagandy—było pierwszym zwycięstwem terenowym na wielką skalę. W taki sam sposób zneutralizowano pomoc Francji w chwili uderzenia Niemiec na Polskę. Okres dziewięciomiesięcznej ciszy na froncie zachodnim w 1939 i 1940 roku wyzyskała piąta kolumna, by przeprowadzić rozkład grup, kierujących Francją i wygrać wszystkie atuty strachu wielkiej finansjery i przeżartej dobrobytem burżuazji—przed ludem francuskim. Tak samo opanowano Rumunię, Węgry i Bułgarię. Tak samo, po upadku Francji, próbowano rozłożyć Wielką Brytanię.

Lecz tutaj, w tej walce psychicznej, wojnie nerwów i kampanii o opanowanie i ujarzmienie dodatnich wartości duszy narodu—*spotkały Trzecią Rzeszę pierwsze klęski*. Społeczeństwo brytyjskie wykazało, że posiada nie tylko doskonałą flotę i świetny RAF, ale i silne nerwy. W sierpniu i wrześniu 1940 roku załamała się wielka ofensywa Hitlera, nie tylko lotnicza, ale przede wszystkim moralna. Pierwiastki rycerskości, honoru, godności, szlachetnej dumy narodu wzięły górę nad tymi bakteriami strachu, teroru i wszystkich niskich uczuć, jakie starał się szerzyć na całym obszarze Imperium Hitler. To opanowanie nerwów przez społeczeństwo brytyjskie, ten tryumf dodatnich czynników duchowych narodu nad ujemnymi—można porównać do Trafalgaru w wojnach napoleońskich i do zwycięstwa nad Marną w wojnie światowej.

Drugą klęską osi był wspaniały, a zarówno w Rzymie, jak i w Berlinie zupełnie nieoczekiwany opór Grecji. Ojczyzna Milicjadesa zdała powtórnie wielki egzamin dziejowy ze świetnym wynikiem. Przeważające i świetnie wyekwipowane oddziały włoskie miały w przeciągu tygodnia zająć Ateny, bez walki. Tymczasem po kilku miesiącach zaciętych bojów, Grecy stoją o kilkadziesiąt kilometrów od największego portu i miasta Albanii, Valony.

Ale największą porażką w tej wojnie psychicznej jest opór Jugosławii. Był on zaskoczeniem Berlina i Rzymu. Co więcej. Był on niespódzianka zarówno dla W. Brytanii, jak i państw sojuszniczych. Przyznajemy się z całą szczerością, że w naszych przewidywaniach, jakim dawaliśmy wyraz na tych łamach—popełniliśmy omyłkę. Twierdziliśmy wprawdzie, że społeczeństwo jugosłowiańskie jest przeciwne osi, że wzrasta w nim niechęć do Niemców i Włoch. Ale wiedzieliśmy również, jak trudno jest w dzisiejszych czasach wystąpić przeciwko rządowi, za którym stoi policja i jej karabiny maszynowe, podległa rządowi biurokracja i wreszcie bardzo potężna piąta kolumna, pracująca od szeregu lat w Jugosławii. Ponadto kraj został otoczony ze wszystkich niemal stron zarówno przez wrogów, jak i podległe wrogom państwa. Sytuacja militarna i gospodarcza Jugosławii—była i jest niesłychanie ciężka. Warunki przystąpienia do paktu osi były odmienne od tych, do których przyjęcia zmuszono Rumunię i Bułgarię. Żądania Niemiec były skromniejsze, bardziej umiarkowane. Rząd belgradzki podpisał pakt. Wydawało się, że bez walki pada znowu jedno wielkie państwo.

Tymczasem nastąpiła reakcja tak gwałtowna, jaka, w tych warunkach nie ma precedensu w historii. Poryw narodu zrzucił i regenta Pawła i rząd i wszystkie wpływy piątej kolumny. Opowiedziano się za wojną, za walką bezwzględną w obronie honoru i godności narodu. Społeczeństwo jugosłowiańskie mogło zachować życie wielu tysięcy młodych ludzi za cenę ustępstw, rezygnacji, kompromisu ze złem. *Tymczasem wybrało drogę honoru.* Wybrało walkę. Walkę w bardzo niekorzystnych warunkach, z siłami nie tylko potężnymi, ale i przewyższającymi pod każdym względem, zarówno liczebnym jak i technicznym skromną armię jugosłowiańską. Bo nie łudźmy się co do realnego stosunku sił. Jugosłowianie zdają sobie sprawę, że będzie trzeba ewakuować zarówno stolicę, jak i ogromne części kraju, może i cały kraj. I mimo to podjęli walkę, w której ofiary będą olbrzymie.

I w tej wojnie, w której decydują czynniki psychiczne—*jest to ogromne zwycięstwo koalicji narodów wolnych.* I doprawdy, nic a nic nie będą znaczyły jakieś, bardzo zresztą możliwe sukcesy militarne Niemiec na Bałkanach. Hitler, który chełpił się, że opanował cały kontynent—napotkał na opór zbrojny bohaterskiego narodu. *I ta twierdza południowo-słowiańska może stać się dla Hitlera tym, czym była w wojnach szwedzkich dla Karola Gustawa ... północno-słowiańska Częstochowa.* Czynniki bohaterstwa, wielkiej ofiary nie pójdą na marne.

Pierwszym warunkiem sukcesu jest przełamanie tej psychicznej obręczy, jaką Hitler starał się zdusić Europę. Otoczył Jugosławię więzami podstępów, strachu, szantażu, kłamstwa. Dzielny słowiański naród targnął więzami i zerwał je. Zobaczył się wolny. Zobaczył się wielki, godny najlepszych tradycyj rycerskich całego świata. Ten Wielki Tydzień w którym w słowiańską ziemię wsiąka krew bohaterskiego narodu—jest zapowiedzią Zmartwychstania. Zmartwychstania narodów opanowanych zdradą i podstępem. Zmartwychstania tych czynników sprawiedliwości, tych wielkich zasad moralnych. które muszą zwyciężyć Zło. I huk jugosłowiańskich armat jest zapowiedzią Wielkiej Rezurekcji.

tk

Wojna na morzu

"BITWA O ATLANTYK" TRWA

"Bitwa o Atlantyk" nie ustaje ani na chwilę, lecz wolno ale systematycznie szala zaczyna się przechylać na stronę sprzymierzonych. Straty w czwartym tygodniu spadły znowu—już do 59,747 tonn (17 okrętów) i to w tym czwartym tygodniu, w którym miały się uwidocznić "niebywałe" triumfy Gnaeisenau i Scharnchorst. Tymczasem oba te okręty zostały intensywnie obrzucone bombami R.A.F. w Breście. Rezultat jeszcze niewiadomy.

Natomiast wiadomo, że "działalność" tych okrętów na razie ustała, a tabelka "ofensywy wiosennej" do tej pory wygląda pocieszająco:

1 tydzień 148,038 tonn strat,
2 tydzień 98,875 tonn,
3 tydzień 71,820 tonn,
i 4 tydzień 59,141 tonn.

STANY ZJEDNOCZONE SEKWESTRUJĄ STATKI "OSI"

Tymczasem w owej niezwykłej "bitwie o Atlantyk," gdzie nie bardzo wiadomo, gdzie i kto jest przeciwnikiem, a kto z "tym nie ma nic wspólnego," Niemcy i Włochy za jednym zamachem straciły więcej statków, niżby to mogła zrobić przy ciężkiej pracy wielka flota sprzymierzonych. Stany Zjednoczone nagle zajęły wszystkie statki niemieckie, włoskie, duńskie, a jest mowa i o francuskich ze sławną "Normandie" włącznie. Nie pomogły próby sabotażu i dwie energiczne noty protestujące. Policja amerykańska obsadziła statki, a załogi zostały internowane na lądzie. "Wyłuskani" gestapowcy zostali oddani pod sąd pod zarzutem próby sabotażu, a oporni marynarze wręcz wysłani do więzienia. Bandery ze swastyką zdjęto, a na jednym ze statków, którego właściciele byli winni Amerykanom poważniejszą sumę (M/S Arauka) podniesiono banderę — amerykańską. 57 statków zostało w ten sposób zajętych. Pośród nich parę wielkich i nowoczesnych, jak n.p włoski Conte Biancamano (23,555 tonn) zasekwestrowany w porcie Cristobal (Panama).

Niektóre państwa Ameryki Południowej poszły za przykładem Ameryki Północnej. Meksyk pierwszy. 12 niemieckich statków w portach meksykańskich zostało zatrzymanych i "oddanych pod protekcję" policji. W Ekwadorze Niemcy zdołali spalić statek Cerigo, zakotwiczony na rzece Guayas. W Peru dwa niemieckie statki München (5619 tonn) i Hermonthis (4833 tonn) próbowały wymknąć sie z portu Limy Callao. Stary, sfatygowany krążownik peruwiański, świadek prawie każdej peruwiańskiej rewolucji, tym razem spisał się dzielnie: dogonił uciekinierów, ale nie mógł już zapobiec spaleniu obu statków przez własne załogi, jak to robią Niemcy systematycznie na rozkaz zbzikowanego Führera.

Jedyna Brazylia wypuściła ze swych portów prawie wszystkie statki niemieckie. Żal chwyta za serce, że ta sympatyczna republika tak bardzo uległa wpływom kolonii niemieckiej i włoskiej, rządzących się w tam, jak szare gęsi. (Jest ich łącznie około 2 milionów na 40 milionów mieszkańców Brazylii.)

DALSZE STRATY WŁOCHÓW I NIEMCÓW.

Tak więc ów czwarty tydzień "bitwy o Atlantyk" był "czarnym tygodniem" dla państw osi. Dwie wielkie klęski na Morzu Jońskim i w portach Ameryki, a poza tym szereg niepowodzeń fragmentarycznych. Na Morzu Czerwonym samoloty morskie zatopiły, po krótkiej walce, kontrtopedowiec włoski z klasy Pantera (z górą 2,000 tonn), który próbował wymknąć się z portu Massawa.

Nastąpiło do niedługo po zwycięstwie na Morzu Jońskim. W dzień potym Admiralicja Brytyjska oficjalnie ogłosiła, że brytyjski okręt podwodny zatopił włoski okręt podwodny i tank na ropę Laura Corrado. Również i 2 duże statki niemieckie; Bertram Richmers (4,188 tonn) i Paul Hermann (4,230 tonn) zostały zatopione przez kontrtorpedowiec H.M.S. Kandahar, gdy próbowały przedostać się przez cieśninę Bab el Mandeb na Ocean Indyjski.

INCYDENT FRANCUSKO (VICHY)—BRYTYJSKI

W tym szczęśliwym tygodniu na morzu był jeden tylko moment przykry. Pozujący na polityka o dyktatorskich gestach admirał Darlan oświadczył niedawno, że nie dopuści do dalszej blokady "wygłodzonej Francji" przez W. Brytanię i, że na przyszłość francuska flota wojenna będzie konwojowała statki francuskie. Niestety Admiralicja Brytyjska była w posiadaniu danych, że francuskie statki, prócz żywności, która potym idzie do Niemiec, przewożą również materiał wojenny i ładunki surowców. To też gdy francuski konwój, eskortowany przez kontrtorpedowiec Simoun, próbował prześlizgnąć się przez cieśninę Gibraltarską, płynąc przez wody terytorialne hiszpańskie, lekkie siły floty brytyjskiej rozkazały zatrzymać się statkom francuskim w chwili, gdy te opuściły rejon hiszpański. Francuzi nie tylko nie usłuchali, ale algierskie baterie nadbrzeżne otworzyły ogień na okręty brytyjskie. Brytyjczycy odpowiedzieli ogniem, zabijając 8 Francuzów i raniąc kilkunastu. Ze względów humitarnych nie zatopiono statków konwoju (co mogło by być zrobione z łatwością) i pozwolono im schronić się w porcie Nemours. Okręty brytyjskie natomiast, gdy powracały do Gibraltaru, zostały zaatakowane przez francuską eskadrę bombowców, które obrzuciły Anglików bombami, na szczęście bez skutku.

Wypadek ten jest pożałowania godny i wydarzył się wbrew woli społeczeństwa francuskiego, o czym mówił przez radio generał de Gaulle z Kairu. W każdym razie ilustruje jasno do jakich granic upodlenia może doprowadzić "wpływ niemiecki."

OCZEKUJEMY WYPADKÓW Z UFNOŚCIĄ I WIARĄ

Bez względu na to, jakie były by intrygi Hitlera, i którędy by próbował dojść do swojego celu, widoczne jest na morzu lepiej, niż gdziekolwiek indziej, że karta zaczyna się wolno, wolniutko odwracać. Nie naruszony jest jeszcze mit "niezwyciężoności" niemieckiej na lądzie i rzekomej "nieomylności" austriackiego malarza pokojowego (co tak chętnie głoszą szkodliwi ludzie o typie "panikarzy przyjacielskich"), ale rozwianie tej legendy jest już bliższe, niż nam się wydaje. Rozwieje ją zaś wicher, który zawsze wieje na Kanale od zachodu, a wyzwolenie nadejdzie od strony morza.

Londyn 4 kwietnia 1941 r.

Bohdan Pawłowicz

"Ogniwo Przyjaźni"

Dwujęzyczny polsko-angielski tygodnik "Ogniwo przyjaźni"—"The clasp o' friendship" redagowany i wydawany przez p. Jadwigę Harasowską wyrósł na gruncie przyjaźni polsko-szkockiej, której nowy rozdział otworzyło przybycie armii polskiej do Szkocji. To zjawisko przetaczające się przed naszymi oczami jest czymś zupełnie niezwykłym w historii naszych stosunków z innymi społeczeństwami. Historia ta zna związki nawet z tak przestrzennie i duchowo odległymi krajami, jak Belgia i Szwajcaria, ale były to związki pojedyńczych ludzi lub niewielkich grup. Zdarzały się kontakty liczebnie większe, nawiązywane przez emigrantów 31 i 63 roku, czy przez grupy studenckie z końcem ubiegłego roku. Zbliżenie polsko-szkockie przerasta rozmiarami to wszytko. Obserwując samorzutność, głębokość tego zjawiska musi się przypuszczać, że między nami a Szkotami są jakieś podobieństwa duchowe, pokrewieństwa temperamentów.

Współtworząc to niezwykłe zjawisko, tkwiąc w jego obrębie może niezupełnie zdajemy sobie sprawę ze znaczenia jego dla propagandy naszej sprawy na gruncie brytyjskim. Ciąży na nas jako całości i na każdym z nas z osobna, na każdym żołnierzu i oficerze wielka odpowiedzialność. Postawa, zachowanie się naszego wojska jest dziś najbardziej doniosłym czynnikiem urabiania się opinii o Polsce w Szkocji a przez Szkocję w całym Imperium Brytyjskim.

Młoda płonka przyjaźni polsko-szkockiej, jeśli ma wyróść w drzewo i wydawać owoce potrzebuje podpór wszelakiego rodzaju. Wiemy, że nasi szkoccy przyjaciele krzątają się koło założenia Towarzystwa Polsko-Szkockiego, że zamierzają wydać tom naszego znanego anglisty o stosunkach szkocko-polskich w przeszłości. Sprawie wzajemnego zbliżenia służy też tygodnik p. Harasowskiej, wyprzedził te wszystkie przedsięwzięcia.

Stanowi on jedno z ogniw jej pracy służącej potrzebom armii polskiej w Szkocji. Niedawno temu dwusetnym, jubileuszowym numerem zamknęła ona wydawnictwo "Wiadomości Polskich" biuletynu informacyjnego dla żołnierzy. Biuletyn ten zaczął się ukazywać 9 czerwca minionego roku, jeszcze przed naszym wielkim desantem na wyspy brytyjskie. Początek tej pracy był prosty i wzruszający. W kilku szpitalach pod Glasgowem leżeli ranni pod Narvikiem żołnierze polscy. Trzeba im było dostarczyć informacji o toczących się wypadkach. Pani Jadwiga zaczęła przestukiwać przez kalkę najświeższe wiadomości, potem zaczęła je powielać na cyklostylu i nakład podwyższać z tygodnia na tydzień. Dziś, gdy jest tu tyle pism polskich, nie zdajemy sobie już dobrze sprawy z tego, czym dla garstki zbłąkanych Polaków była ta pierwsza polska gazeta.

Później p. Harasowska rozszerzyła zakres swej działalności. Szkotom podsuwa wiadomości o Polsce, o zbrojnym wysiłku jej żołnierza i o głuchej, jakże dramatycznej i bohaterskiej walce kraju. Czyni to w zdobytej na ten cel polskiej kolumnie w dzienniku szkockim, w glasgowskim "Sunday Dispatch."

I to jeszcze nie wyczerpało jej potrzeby działania. Zaczęła organizować lekcje języka polskiego dla Szkotów, wydała piękne album kolęd polskich z tekstem angielskim, wreszcie, ciągle po tej samej drodze idąc wydaje bez niczyjego poparcia tygodnik poświęcony sprawom ugruntowania przyjaźni polsko-szkockiej. Chcielibyśmy tu zwrócić nań uwagę naszych czytelników i jak najgoręcej zachęcić, aby każdy z nich wprowadził to pismo do domu swoich szkockich przyjaciół, wskazał im drogę do zaspokojenia ciekawości dla spraw polskich, aby każdy stał się współtwórcą, nosicielem istotnej, dobrej propagandy polskości (adres: 240, Hope Street, Glasgow).

Ten prosty bezpretensjonalny, miły zewnętrznym wyglądem tygodnik przez swój tekst angielski celowo informuje Szkotów o Polsce. Ukazuje ją w dobrze wybranej fotografii Wilna czy Lwowa, Gdyni czy Pińska. Pokazuje jej profil teraźniejszy: mówi o jej prawach do Gdańska, opowiada o Krakowie — mieście żywych kamieni, czy o Warszawie. Zahaczy o przeszłość Polski, czy to pokazując Szkotom swoistość sztuki Szopena, czy zwłaszcza wydobywając momenty z wspólnej przeszłości szkocko-polskiej. I tu zarazem jest informatorem dla Polaków. Z przeszłości umie redaktorka wydobyć nie tylko ciekawostkę o polsko-szkockich małżeństwach w XVIII-ym wieku, ale sięga też do rzeczy poważniejszych i głębszych. Odsłania je czy to przypomnieniem Roberta Burns'a czy tych ważnych związków kulturalnych polsko-szkockich, na które wskazał prof. Stanisław Kot na inauguracji polskiego wydziału lekarskiego w Edynburgu.

Czytelnikom "Polski Walczącej" właściwe nie trzeba przypominać pracy redaktorki "Ogniwa Przyjaźni." Ona to jako "Jadwiga z Glasgowa" w pierwszych angielskich numerach "Polski Walczącej" charakteryzowała pierwociny życia żołnierskiego na gruncie szkockim. Żołnierze nie odmówią jej pomocy i poparcia ani w tym, ani w żadnym innym przedsięwzięciu.

Edward Żywoń



NASZE JAJKO WIELKANOCNE

ugotował Józef Stojek

Jakie jajka będzie się jeść tego roku na Święta



W 1 BRYGADZIE STRZELCÓW

Szef kompanii (do strzelca wysyłanego po zakup jaj na Święta):—Tylko pamiętajcie, aby jaja były pierwszorzędne, znaczy się od pierwszych kur w stadach, siadających na pierwszych grzędach; żeby były zniesione o godzinie 1-szej w południe albo w nocy i po raz pierwszy przez daną kurę. Tylko takie jaja może jeść wojsko w 1 Brygadzie Strzelców.



W 10 BRYGADZIE KAWALERII PANCERNEJ.

Felek do Margaret:—U nas w Brygadzie będziemy jedli jajka tylko od czarnych kur, zniesione w nocy i po ugotowaniu pomalowane na czarno. Innych jaj "Czarna Brygada" nie jada!



W BRYGADZIE KARPACKIEJ

Józiek chtóren z nas sie spodziewał, że na Wielganoc będzie wcinał pstrusie jaja, co?

Święcone na Powiślu

Wynalazek zrobiłem, żnakiem tego naukowiec jezdem z cenzusem.

A było tak. Siedziem se tu na rogu u tego Śkota Macmaca z koleżkamy i ciągniem browar.

Feluś Ostroszczak, starszy kierowca z czasem wojny, miał głos i przedstawiał się za artyste widowiskowego na scenie. Stasiek Wiatrówka, podobnież kierowca, detajlicznie z okaeru pancerniak, chtóren jezd na Felka serdecznie nakręcony o jednom Śkotkie, przygadał mu, że owszem ma o tem przedwojenno wiadomość od jednego faceta teatralnego, chtóren mówił, że niejaki Feliks Ostroszczak faktycznie ma sie rozumieć w teatrze przedstawiał, w jasełkach za woła.

Raban się zrobił i pieron wi do czego by przyszło, ależem grande zlokalizował. Z jedno ręko na sercu, a drugo na drążku od zamykania okiennic zagaiłem, że o wiele jeżeli majo nas tu mieć nie za dżentelmantlów a zwyczajnych chomontów z prewincji, to przepraszam. Narodowi polskiemu wstydu robić niemożebno. A chtóren jezd inszego wyznania na tem ponkcie, znaczy się drakie chce uskuteczniać w publicznem wyszynku śkockiem, będzie wentualnie ze mno przegrany.

To się serdecznie obydwa koleżki zacieli i wyszli.

Żałość me okrutna zdjena sierote bezdymno na obcy gront wyrzucono i przeszedem z browaru na wiske. Jeden głębszy śtabowy, drugi i dopiero za trzeciem ostygłem. Ma się rozumieć zaczonem od początku pod torebkie "fiszen siks." Jagżem już trzecio kolejkie wykończył, takiem sposobem przeniesłem się z myślamy w osobiście rodowity pejsaż, znaczy sie na Powiśle.

I to jezd akuratnie ten wynalazek, chtóren zrobiłem. Trzy kolejki, detajlicznie 9 wisków śkockich braciszku wychlasz pod odpowiedzialno większość browaru i myślamy zara śmigasz gdzie sie leguralnie patriocie przynależy—do rodzącego gniazda. Namacalnie je widzisz, chocia faktycznie w śkocki knajpie sie bradziażysz.

Więc jagżem te trzecie kolejkie wisków wykończył i z myślamy sie na Powiśle wmeldował, nasze narodowe przedwojenne Wielganoc żem zobaczył.

Co jak co, ale Wielganocne Świenta to już bracia Polaki odstawiali z fasonem. W całej zjednoczonej Ojczyźnie z dostępkiem do morza zalewano jak sie przynależy, tagżesamo wtrajano dary boże, od rolmopsa i pisanki do golonki czyli boczku, z chrzanem to znowuż z ćwikło.

Toteż jagżem sie znalaz w naszem mięszkaniu, przede wszystkiem te szczegółe porutowałem. I co widze?

Uginajoncy sie stół w dekoracyjnem zastawieniu gastronomicznem przyszykowany do konsompcyi, ankohol i browar w zimnem lodzie podmrożony, plutonamy pod ściane do świontecznej defilady odkomenderowany, patefon z płytamy narychtowany, widze i kochane rodzinkie i drogocennych gości. Znakiem tego festyn sie musowo uda.

Kiedy piersze kalafiorki hukneli za oknamy, towarzystwo sie rzetelnie do wtrajania świenconego zabrało.

O wiele jeżeli temperatura była już na dworze ciepła, naród na łono mamy natury sie z mięszkania wytranżalał. W tako pore akuratnie żem trafił.

W mięszkaniu nie podchodziło już żarcie i ma sie wiedzieć naród "Haberbusza" czyli też "czystej" smaku sie dopić nie mógł. Po famielijnej naradzie deróżko w sielankie cało grando z przyboramy świontecznemi sie wynieślim.

Prawdziwie tu dopiero se ulżył człowiek, jak sie przynależy!

Najsamprzód wybralim se przystań pod drzewkamy, tagżesamo gdzie krzaki byli niedaleko. Potem sie wiara rozkrochmaliła z marynarków, kołnierzyków i krawatków chtóre denerwowali. Damy znowuż popuszczali se biusthaltery i przez pantofli śmigajo, żeby se nadgniotki też odpoczeli.

I ma sie rozumieć znowuż sie świenta zaczeli od początku. Stefka pączki i insze delikatesy z serwetków odwija, Felek wali grabo w denko wyborowej, aże sie korek w drebiezgi roztranżala, panna Mania mięsożerno zagrychie szykuje, mamcia jajka obiera w obczas damskiego lakierka obtłukane, Pietrek Bobroszczak baranka z rzeżuchowo podstawko przykaraulił na środku obrusa ja znowuż z opałem, znaczy sie z "płaskiemi ekstra" po gościach skikam i kużdemu jednemu chce czy nie w gębe pakuje, a ońciec na półtonówie zaiwania "Wesoły nam dzień dziś nastał" a potem "Tango łyczakowskie" i bawiem sie jak janioły!

Żaden umrzyk z drugiego świata sie ze żyjoncemy nie kompinuje, ale o wiele jeżeli by taki interes sie przydarzał, kużden jeden żywy by sie naocznie mógł dowiedzieć, że w ten sam deseń podobnież raj jezd wykarkulowany.

Tagżem se senne marzenie o naszej Wielganocy przez większo ilość godzin odstawiał, kiedy mnie z tej telepatycznej transmisji w rzeczywisto nędze ziemsko sam właściciel prepinacji ściągneł.

Znakiem tego sie oprzytomniłem i znowuż kazałem kolejkie, ale mi owszem nie dali, że sie publiczne miejsce zamyka. Tożem wylegurował rachonek i w śkocki "blekałt" sie wypatroszył. Akuratnie znajoma patrolka sie nawineła, tożeśmy popłyneli na kwatere, gdzie mnie już oczekiwali z utęsknieniem trzy dni "letkiego."

SPIS RZECZY.

Jakie pisanki przygotowali dla Adolfa:



lotnicy **marynarze**

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesiecznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—1 cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam—sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.

